



Laureaci

1 miejsce – Paweł Dybała – Dzień Człowieka	2
2 miejsce – Karolina Król – Ewangelistka	5
3 miejsce – Klaudia Sowiak – Współlokator	9

Wyróżnienia

Natalia Lewandowska – Diamentowe łyzy	11
Kinga Glanc – Przemiana	14
Anna Koralewska – Honor	18
Krzysztof Przetacznik – Czerwona figura	22
Jakub Cudziło – Szukając wampira	25
Margota Kott – Jedyne wampiry w mieście	28
Patrycja Petrykowska – Twarz z otworami na oczy	31
Tomasz Golis – Najważniejsze kliknięcie w życiu	35
Zuzanna Kaczorek – Potwór Maska	39
Martyna Wyleciał – Widzę twoją twarz	42

Paweł Dybała – Dzień Człowieka

Ludzie nie istnieją.

Tę frazę powtarzali wszyscy, bez względu na płeć, wiek czy rasę. Nie zawsze brzmiała ona identycznie, lecz jej implikacje zawsze były takie same. „Mamo, przecież ludzi nie ma!” – wołały ze śmiechem elfie czy krasnoludzkie dzieci, wystarczająco duże, by nie bać się rodzicielki straszącej człowiekiem, który przyjdzie i zabierze do worka porozrzucone zabawki. Te, które umiały już czytać, pogrążały się w bogato ilustrowanych książeczkach o tytułach typu „Ludzie i inne prawdziwe istoty”, zaś te jeszcze nieco starsze na lekcjach uczyły się na lekcjach historii o tym, jak przed wiekami rasa ludzka, przejawiająca wyjątkowo agresywne zapędy, przegrała w wielkiej wojnie ze zjednoczonymi rasami, co okazało się początkiem jej końca.

Akademicy lubowali się w dyskusjach o tym, czy ostatni człowiek umarł trzy i pół, czy może cztery wieki temu. Co jakiś czas ktoś odnajdywał nowe szczątki jakiegoś osobnika, na których podstawie wykonywano mniej lub bardziej sugestywne szkice ludzkich kobiet i mężczyzn.

Tak czy inaczej – jedno było pewne: ludzie nie istnieją.

Słyszał to tyle razy, że prawie w to uwierzył. Pewnie by i uwierzył, gdyby sam nie był człowiekiem.

Ojca nie znał wcale, matkę pamiętał mętnie. Urodziła go gdzieś w miejskich slumsach. Mógł się tylko domyślać, jak zarabiała na ich utrzymanie. Odeszła na tyle wcześnie, by nie zdążyć mu niczego wyjaśnić – i na tyle późno, by powiedzieć coś, co wyjaśnienia wymagało.

„Tak, jesteśmy inny niż wszyscy. Dlatego zapuszczamy włosy, by zakrywały uszy. Dlatego kryjemy twarze za szmatami.”

„Jesteśmy ludźmi. Jesteś człowiekiem.”

Teraz, po kilkunastu latach, wiedział już, co to znaczy.

Nauczył się ukrywać. Nie było to aż takie trudne – szanowani mieszkańcy miasta traktowali żebraków jak powietrze, zaś tym, z którymi dzielił ten los, było w zasadzie wszystko jedno. Nikogo nie obchodziło, kim był zarośnięty, długowłosy mężczyzna w starym płaszczu z kapturem zawsze naciągniętym głęboko na czoło.

Dziś jednak było zupełnie odwrotnie. Szedł przez miasto z odsłoniętą twarzą, tu i ówdzie jeszcze zaczerwienioną od golenia znaną w śmietniku brzytwą. Włosy, zwykle zmierzwione, spięte miał z tyłu w koński ogon. Jak zwykle czuł się nieswojo z myślą, że naprawdę tak właśnie wygląda. Jak co roku czuł, że paradoksalnie mniej czuje się sobą tego jednego dnia w roku niż w swej codziennej roli mieszkańca ulicy. Mimo to jakaś dziwna siła jak zawsze ciągnęła go na rynek, gdzie obchodzono doroczny Dzień Człowieka.

Jak zwykle, im bliżej centrum miasta, tym więcej mijał „ludzi”. Z początku przebierańcy pojawiali się sporadycznie, a z czasem ich grupki gęstniały, by na ulicach prowadzących do rynku zmienić się w istne korowody przedstawicieli różnych ras z nałożonymi na twarze magicznymi maskami. Jedne cechował pewien realizm, inne imitowały raczej znany z opowieści stereotypowy obraz człowieka. Z tłumy co i rusz spoglądały na niego twarze o wykrzywionych złośliwym grymasem obliczach, demonicznych uśmiechach czy ostrych kłach. Inne były względnie podobne do jego własnej – niektóre na tyle, że ich właścicieli można byłoby od biedy wziąć za ludzi, gdyby nie to, że większość zdradzał wzrost. On sam mógłby uchodzić za wyjątkowo wysokiego krasnoluda, wyjątkowo niskiego elfa bądź przedstawiciela którejś z rzadszych ras. Tak czy inaczej, był względnie bezpieczny. Prawdopodobnie był jedyną osobą w tłumie, która wtapiała się weń bez pomocy zaklęcia maski.

Wraz z korowodem dotarł wreszcie do rynku, na którym już rozpoczynały się uroczystości. Brnął przez tłuszcę przebierańców, torując sobie drogę wśród niecierpliwych syknięć i chrząknięć, by wreszcie, jak co roku, dotrzeć niemal pod główną scenę. Stał obok kobiety w masce z gatunku tych realistycznych – na taki wizerunek najwyraźniej, w mniemaniu tego, kto rzucił zaklęcie, składały się wydatne do przesady kości policzkowe, wygięte w nienaturalnym uśmiechu krwistoczerwone usta oraz niepokojąco wielkie oczy, nad którymi górowała szopa jasnych jak słoma włosów.

– Świetne przebranie – zagaiła uprzejmie sąsiadka.

– D-dzięki – odparł, jak zwykle nieco skrępowany takimi komentarzami.

– Nawzajem.

– Otóż to! – zakrzyknął wesoło konferansjer, jakby wtrącając się do rozmowy. – Panie i panowie, czas na jeden z ważniejszych punktów dzisiejszego wieczoru! Przed nami ogłoszenie wyników konkursu na Miss Dnia Człowieka!

Mężczyzna stłumił ziewnięcie. Może dla wszystkich zgromadzonych było to w jakiś sposób istotne, on jednak nie przepadał za drętwy przemowami dziewcząt w „ludzkich” maskach, za każdym razem skrajnie nieciekawymi, a zarazem nieodróżnialnymi od poprzednich. Cekał na wielki pokaz fajerwerków, a póki co o wiele ciekawsze było dlań obserwowanie przebranego tłumy.

Coś jednak wyrwało go z transu pełnego obrazów nieproporcjonalnych twarzy i groteskowych grymasów. Burza oklasków skłoniła go, by spojrzeć na scenę – i zastygł w bezruchu.

Stał na niej człowiek. Młoda, ludzka kobieta, o twarzy będącej ucieleśnieniem ludzkich proporcji. Pamiętał takie rysy z dzieciństwa. Podobne, choć brzydsze, widywał, gdy przeglądał się w szybach bądź tafli wody.

Nie miał wątpliwości. Podczas gdy na scenie oficjele gratulowali dziewczynie wygranej i komplementowali jej maskę, on nadal trwał w niemej fascynacji, przekonany o słuszności swego odkrycia.

Miss Dnia Człowieka zeszła ze sceny, a on, wiedziony impulsem, znów zaczął mozolną wędrówkę przez tłum. Znów obracały się ku niemu demoniczne twarze, on jednak, niczym w transie, wytrwale parł ku miejscu, gdzie z oczu zniknęła mu dziewczyna.

Jest.

Szła ku stojącemu nieopodal sceny namiotowi mijając szpaler machających do niej widzów. Zdążył do niego dołączyć tuż przed płachtą zakrywającą wejście.

Kobieta szła pełnym wdzięku krokiem, co i rusz przystając, by z uśmiechem uścisnąć wyciągniętą do niej z gawiedzi dłoń. Z bliska jej rysy były jeszcze bardziej ludzkie i regularne. Poczł, jak głos grzęźnie mu w gardle.

Wyciągnął dłoń. Dziewczyna zatrzymała się i ją uścisnęła.

– Ja... Ja... – wykrztusił, ściskając ją chyba zbyt mocno. – Ja... wiem, kim jesteś! – wypalił zachrypniętym z przejęcia głosem. – Jestem taki jak ty...!

Z twarzy dziewczyny na moment zniknął uśmiech. W jej oczach, pięknych, proporcjonalnych, ludzkich oczach, pojawił się błysk niepokoju.

I zrozumienia.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzuciła chłodno, po czym szybkim krokiem weszła do namiotu.

**

– Myślisz, że to właśnie o to mu chodziło? – zapytał mężczyzna opierający się o podporę namiotu.

– A o co innego? – odparła dziewczyna. – Mówię wam, on wie.

– Świetnie. – mężczyzna nie skrywał irytacji. – A ostrzegałem, że udział w tym konkursie to proszenie się o kłopoty. Ale kto by mnie tam słuchał.

– Nawet jeśli wie – wtrącił się drugi z mężczyzn. Jego rysy, choć o podobnych proporcjach jak pozostałej dwójki, urozmaicały bruzdy zmarszczek. – To co to właściwie zmienia?

– Nic. – wzruszyła ramionami dziewczyna. – Gdyby doszło do tego choćby tydzień temu, mogłoby to pokrzyżować nam plany. Ale teraz? Gdy nasi ludzie są już na stanowiskach? Gdy cała dywersja poszła tak, jak zaplanowaliśmy? Wszystko zaszło już zbyt daleko.

– Skoro o tym mowa – rzekł starszy z mężczyzn. – Zaraz się zaczniesz.

W pobliżu rozległ się huk. Po nim kolejny. Rozpoczął się wielki pokaz fajerwerków.

Karolina Król – Ewangelistka

Gdy kończą ci się pieniądze, na stole rośnie sterta rachunków, wydawcy się nie odzywają, w kwaciarni pracują już inne dziewczyny, które nie nadają się do niczego innego, jak tylko układania kwiatów, ale mają więcej szczęścia niż ty – a przychodzi do ciebie diabeł i mówi, że ma dla ciebie pisarskie zlecenie – jeden wieczór pisania, pensja do końca życia jak na stanowisku państwowym – nie zastanawiasz się za długo. Po prostu to bierzesz.

Tego wieczoru czekałam na cud.

Właściwie jak każdego wieczoru od dwóch lat, od momentu, gdy na czwartym roku studiów dotarło do mnie, że dorosłość ssie, a ja najprawdopodobniej popełniłam błąd.

Wybierz studia, które będą cię pasjonować, mówili. Będzie fajnie, mówili.

Będziesz miała pracę, mówili.

Będzie bezrobotny magister. Ale z pasją!

Wzrok automatycznie wędruje do przywieszonej nad biurkiem tabliczki z mottem wypisanym zapewne gęsim piórem: *Humanisci – być może najwięksi ryzykanci naszych czasów*. Zabytkowa zapalniczka po dziadku czekała już kilka lat, by spalić tę bzdurę na popiół. Ale wciąż jeszcze miałam skrawek nadziei, który wstrzymywał płomień.

Tak, zderzenie z ziemią bolało. Rozpoczęło się rozpaczliwe szukanie jakiejś furtki, wyjścia alternatywnego, w końcu lepiej wiedzieć więcej niż mniej. I tak oto w CV mogłam wpisać zaocznie zdobyty tytuł technika florysty i kilkuletnie doświadczenie organistki (do każdej mszy z okazji setnych urodzin msza pogrzebowa gratis! I nie, nie zaśpiewam Shreka na ślubie).

Zawsze było mnie w sobie za dużo. Za dużo słów, które ulewały się ze mnie. Musiałam pisać. Inni robili sobie selfie, ja pisałam. To miało po mnie pozostać, słowa.

Tylko, jak się okazało, to było za mało. Słowa miały być źródłem utrzymania, ale na razie tylko ja się nimi karmiłam, nieświadomie uprawiając swój własny kanibalizm.

Dlatego gdy w ten piątkowy wieczór ktoś zadzwonił do drzwi, otworzyłam. Czekałam na cud. A gdy się pojawił, czy miałam jakikolwiek wybór?

Później kurier przyniósł mi paczkę. Otwarta niecierpliwymi palcami nie skrywała już swoich tajemnic. Wpatrywałam się w jedyne namacalne potwierdzenie tego całego szaleństwa. Nie wierzyłam już swojemu rozumowi, o nie, już dawno nie.

Na bileciku mój adres i moje nazwisko, a w środku, wśród cienkiego blad różowego pergaminu, strój w moim rozmiarze. Bardziej Moulin Rouge niż Red Light District, ale i tak byłam w

szoku. Przecież nie włożę tego na trzeźwo. Pakujący ten prezent w jakiś magiczny sposób się tego domyślił; spod koronki bordowego stanika wystawała butelka szampana.

Do „balu” zostało kilkanaście godzin. Szampan był wyborny, jakimś cudem wciąż schłodzony, łaskotał delikatnie gardło. Szaleństwo. Istne szaleństwo. Napotkałam w lustrze swoje spojrzenie, rozbawiły mnie wciąż uniesione w lekkim zdziwieniu brwi. Zlustrowałam tę dziewczynę siedzącą po turecku na tapczanie. Wciąż w dresie, z przetłuszczonymi włosami, nieumalowana, wszem i wobec ukazując światu pryszczate oblicze, z paznokciami mającymi w sobie czarną obecność matki ziemi... Przeraziłam się.

Boże, do balu u szatana kilkanaście godzin, a ja wyglądam jak jakieś nieboskie stworzenie!

*

Kaplica przycementarna na tę jedną noc powiększyła się o dziewięć pięter. Ogromny dziedzińiec, otoczony rzędami kolumn pnącymi się po kolejnych kondygnacjach, rozświetlał ogień z kominków, pochodni i świec.

Zamaskowane postaci wydzielaly z siebie ten specyficzny rodzaj gwaru, który na uroczystości towarzyszy pełnym oczekiwania chwilom, gdy najważniejszy gość jeszcze się nie pojawił. Goście poruszali się jakby eterycznie, jak widma, cienie uciekające przed światłem. Momentami można było odnieść wrażenie, że ich tam nie ma, a bogato zdobione marmurowe wnętrza, kandelabry, żyrandole i witraże to osnute kurzem i pajęczynami deski i strop, miotły, a także stary ołtarz, przy którym czasem jeszcze odprawiano nabożeństwa pogrzebowe.

Ale oto i on! Proszę państwa, jest wreszcie nasze wschodzące słońce, nadchodzi król piekieł i władca potępionych! U jego boku piękna i naga królowa Margot, za nimi postusznie i jakby w onieśmieleniu stąpa ewangelistka wieczoru.

– To zjazd rodzinny – wyjaśnił szatan leniwie, gdy wielka kolejka składających mu pokłon powoli się zmniejszała. – Wszyscy się tu doskonale znamy. Te przed nami to siostry – wskazał siedem nagich dziewcząt. Jak wszyscy inni, na twarzach miały maski. – Najstarsza, Pycha, spójrz, jak zadziera nosek. Mam do nich specjalną słabość – wymruczał, pozwalając, by padały mu do stóp.

– To wszystko to twoja rodzina? – spytała dziewczyna.

Królowa syknęła.

– Trochę szacunku. Mów do niego „panie”.

Szatan machnął ręką.

– Owszem. Czy coś nie tak, najdroższa?

Ewangelistka powoli pokręciła głową, wpatrując się w kelnera. Miał czarny smoking z białą muszką, która momentami bardzo przypominała koloratkę.

– Wydawało mi się, że kogoś tu znam...

Szatan zaśmiał się cicho, podążył za jej wzrokiem.

– Tamten? Z tacą pełną kieliszków? A za kogo go uważasz?

Przełknęła ślinę.

– Jest bardzo podobny do mojego proboszcza...

Szatan roześmiał się ponownie.

– Ta chodząca w kościelnej sukience hipokryzja nie mogła skończyć inaczej, jak tylko tu, *my dear*.

Ewangelistka szybko odwróciła od kelnera wzrok, gdy wydawało jej się, że on złapał jej spojrzenie. Bała się, kogo mogłaby jeszcze rozpoznać wśród służby. Spojrzała na posadzkę w doskonałym momencie, by dostrzec tłustego szczura wielkości małego kota przebiegającego po jej bosej stopie. Pisnęła i wstrząsnęła się z obrzydzeniem.

– Notujesz wszystko? – szatan nawet na nią nie patrzył. – Chcę mieć pamiątkę.

Skinęła.

– Będzie jak zechcesz.

Królowa Margot znów syknęła, a ewangelistka uśmiechnęła się kątem ust.

– Może czas, by to ona odrzuciła twarz i w końcu na chwilę przestała być człowiekiem?

Szatan klasnął.

– Świetny pomysł! Najdroższa, chciałbym, byś stała się mi jeszcze bliższa. Pozwól.

Wstał i nakazał, by zrobiła to samo. Stanął za nią, nałożył jej coś na twarz, zawiązał. Poczuła chłód jedwabnych wstążek na plecach.

– *Show time, my dear*. Nie zapomnij notować.

A oni...

A oni zaczęli zdejmować maski. Jeden demon po drugim.

Na koniec Lucyfer stanął przed ewangelistką, poprawił krawat i pokazał swoją twarz.

A ona zaczęła wrzeszczeć.

*

Nie śpię.

Nie jem.

Czasem wydaje mi się, że to był jakiś alkoholowy amok.

Stałam się jego rękopisem, pergaminem w cyrograficzne bazgroły. Wykorzystał mnie do napisania swojej ewangelii, której ja nie chcę nikomu pokazać. Nie chcę jej ogłaszać, być jej świadkiem. Chcę ją spalić. Ściskam w rękę zapalniczkę po dziadku, patrzę na siebie i się nie poznaję. Dziewczyna w lustrze to nie ja.

Chciałam, by zostały po mnie słowa.

Ale nie takie.

Nikt ich nie przeczyta.

Nikt mi nie uwierzy.

Jestem jego rękopisem.

Podobno rękopisy nie płoną.

Sprawdzę to.

Klaudia Sowiak – Współlokator

W niedzielę wieczorem idę do pracy na nocną zmianę. Gdy w poniedziałek, około szóstej rano wracam do akademika, zauważam w książce odbiorów klucz nieznanego nazwiska znajdujące się tuż obok mojego. Sądecka. Do mojego segmentu wprowadził się ktoś nowy. Mam mieszane uczucia. Odwykłam od dzielenia kuchni i łazienki z kimś obcym, więc wiem, że będzie mi to przeszkadzać. Z drugiej strony znowu będę płacić mniej, niż gdy mieszkalam sama.

Mija tydzień. Nie widziałam Sądeckiej ani razu. Przy pracy na zmiany to prawdopodobne – możemy się mijać. Musi jednak przebywać w mieszkaniu, widzę to. Wtorek – kropelki wody na szczoteczce do zębów oraz mokre klapki pod prysznicem. Środa – zabłocona para adidasów tuż przy wejściu. A przecież wcale nie pada... Zastanawiam się, kim ona właściwie jest. Nie mam obsesji. Po prostu jestem ciekawa.

W czwartek pukam do jej pokoju. Może Sądecka, a właściwie Angelika (dlaczego mam zwracać się do niej po nazwisku?), jest zbyt nieśmiała, by wyjść z inicjatywą. A przecież trzeba napić się piwa, zamienić kilka słów, ustalić jakieś zasady, żeby wytrzymać ze sobą kolejny rok akademicki. Pukam mocniej. Nikt nie odpowiada. Od czwartku próbuję codziennie. W sobotę nie idę do pracy. Czekam całą dobę... Przecież musi wyjść do toalety, do sklepu. Zaczynam się niepokoić, czy w ogóle żyje.

W niedzielę rano wchodzę do łazienki i widzę na półce nad zlewem dwie szczotki do włosów. Gotuje się we mnie – przecież mam taką samą. Popularna, tania szczotka, którą można kupić w Rossmannie pod akademikiem. Czy Angelika weszła do mnie do pokoju i ją zabrała? Przecież ja zawsze czeszę się u siebie, przy oknie. Na pewno jej tu nie przeniosłam. Wracam do pokoju, czuję jak z wściekłości palą mnie policzki. Szukam śladów szperania. Może coś jeszcze zginęło? Po chwili dostrzegam swoją szczotkę do włosów na parapecie, tam gdzie zwykle. Nic już nie rozumiem.

Nie daje mi to spokoju. Postanawiam, że jeżeli do wieczora Angelika się nie pokaże, wejdę do jej pokoju. Przez całą niedzielę siedzę, nie mogę znaleźć sobie miejsca. Próbuję coś oglądać na laptopie, czytać, ale czas nie chce przyspieszyć. Koło osiemnastej nie wytrzymuję – wychodzę do aneksu kuchennego, pociągam za klamkę pokoju obok. Drzwi nie ustępują. Wracam do siebie i szukam wsuwki. Grzebię chwilę w zamku (już kiedyś to robiłam, gdy zgubiłam klucz). Słyszę kliknięcie. Ekscytacja uderza mi do głowy. W końcu się dowiem, kim ona jest!

To, co widzę na tapczanie, na pierwszy rzut oka przypomina stertę rzuconych bezładnie szmat. Gdy podchodzę bliżej, wygląda bardziej jak guma o kolorze ludzkiej skóry. Guma zaczyna się poruszać, falować. Chwilę później wyłania się z niej szara breja. Drzę, ale nie mogę odejść. Nie chcę odchodzić.

Pulsująca substancja wznosi się jak wzburzone morze. Obserwuję ją z fascynacją. Jest... piękna. A jednocześnie tkwi w niej coś obrzydliwego. Chyba to ten kolor przypominający rzekę, która

zgarnęła z brzegu wszystkie nieczystości. Brudna woda pełna mułu i gałęzi. Substancja wznosi się jeszcze wyżej. Jest na wysokości mojej twarzy. Boże, zaraz mnie...

Spojrzałem w lustro. „Co za szpetna gęba” – odpowiedziało jedno z ludzkich wspomnień. Rodziliśmy się czyści. Bez przemyśleń, bez własnej woli. Zwierzęcy instynkt, który kazał szukać ciała żywiciela. „Tabula rasa” – odpowiedziało kolejne wspomnienie. Może tego nauczyciela, w którym byłem miesiąc temu? Może. Nieważne.

Prawdziwa twarz. Bryła gliny, mułu, wodnistej substancji. Przyglądałem się swojemu obliczu. Ilu było takich jak ja? Nie wiedziałem, a ze wspomnień żywicieli niewiele potrafiłem na ten temat wywnioskować. Nikt nie widział, nikt nie kojarzył. Mogłem się tylko domyślać. Jednak im więcej postaci przyjmowałem, tym więcej zyskiwałem wiedzy, która pozwalała mi rozumieć. Co mogłem zrobić, żeby żyć normalnie w swojej postaci, nie przyjmując ludzkiej powierzchowności?

Byłem pasożytem. Nie lubiłem tego określenia. Kojarzyło mi się z insektami wysysającymi krew. Ja potrafiłem znacznie więcej. Byłem sumą emocji i zapisów pamięciowych osób, z których korzystałem. Których wykorzystywałem? Stawałem się coraz silniejszy, a wraz z ich jęstwem przejmowałem jeszcze coś. Coś, co tkwiło w każdym z nich – pragnienie władzy i bycia ważnym. Wierzyłem, że gdy przejmę wystarczającą ilość ciał, odnajdę sposób, jak to osiągnąć.

Wiele rzeczy robiłem metodą prób i błędów. Ta dziewczyna, którą spotkałem w niedzielę, w ciemnej alejce parku, gdy pełzłem między cieniami... Odczytałem z niej schematy zachowań. Ściągnąć buty po wejściu do domu, położyć szczotkę na półce w łazience. Ponieważ poprzedni żywiciel mieszkał sam, nie do końca wiedziałem na czym polega ten schemat. Położyłem więc drugą. Unikałem rozmów, gdyż odczytałem z głowy dziewczyny, że zazwyczaj jej słowa postrzegane są jako głupie. Niepoważne. Szkoda więc tracić czasu.

Gdy zamieszkałem w tamtym pokoju, zobaczyłem również tę drugą. Często ją obserwowałem. Nie zawsze w ciele. Czasami przemykałem się w cieniu, by móc dokładniej widzieć. I choć obiecywałem sobie, że nie będę brał nowego ciała bez potrzeby (dowiedziałem się, że marnotrawstwo jest niedopuszczalne, jeżeli chce się osiągnąć sukces). Ona sama przyszła. Przyszła i zobaczyła mnie takim, jakim jestem. Postanowiłem więc, że ponownie odrzucę swą twarz, na którą nikt jeszcze nie jest gotowy, i stanę się maską. Poczekam. Będę cierpliwy.

Natalia Lewandowska – Diamentowe łzy

Bogowie spoglądali tego wieczora karcąco na rozżarzone do czerwoności miasto Leorii.

Stolica pełna była światła, mieszkańcy nawet przez zatrzaśnięte okna i zaciśnięte oczy widzieli pod powiekami iskry. Kto żyw, chował się w najciemniejszych zaułkach miasta lub wyległ na ulicę by świętować wśród blasku.

Koronacja najstarszego syna cesarza Moora była przecież powodem do celebracji.

Od ponad tysiąclecia Dynastia Gryfa skutecznie broniła Imperium przed atakami zazdrosnych sąsiadów, korzystając z pomocy sieci magów rozstawionych na granicach. Żadna wroga magia nie była w stanie zagrozić jego mieszkańcom, a plotka głosiła, że wspierane zaklęciami wojska nigdy się nie męczyły.

Koronacja kolejnego cesarza musiała być niezapomniana. Maskarada ciągnęła się już sześć dni, a miała skończyć dopiero w dniu przesilenia.

Tłum ludzi skąpany w ciepłym blasku lampionów przelewał się niczym płynne złoto przed oczami Geloj, stapiając się w jedną masę pełną wystających rogów i pustych malowanych oczu. Spod masek dobiegały stłumione głosy tworząc nabzdyczony rój wypełniający sobą cały rynek i krzywdzący uszy kobiety.

W mieście otwartych było wiele kramów z kostiumami przyciągających gości ze wszystkich stron Imperium, lecz przed wóz Geloj nikt dziś nie zaglądał. Nic dziwnego. Wśród otaczającego go przepychu wyróżniał się niczym kropla krwi na szacie dygnitarza.

Wykonane z drewna i ozdobione purpurowymi zębami stoisko straszło przechodzących wyszczerzonymi kłami potwornych masek. Smok, mantykora, ghoul, wszelkie kreatury ciemności strzegły właścicielki, długowłosej piękności o znudzonym spojrzeniu szarych oczu, która oparwszy głowę na rękach obserwowała wirujący tłum.

Kobieta westchnęła głośno, widząc jak kolejna z par znika w zaułku. Gdyby tylko była młodszą...

Jej wzrok przyciągnął roześmiany mężczyzna obejmujący naraz dwie młode damy. Na jego skroniach przytroczone były złote baranie rogi, co z kolei wybornie rozśmieszyło Geloę, gdyż na jej oczach jedna z kobiet sięgnęła po jego sakiewkę. Po chwili wcisnęła ją w dłoń przechodzącego mężczyzny, który na moment skrzyżował wzrok z kramarką. Zamarł, by zaraz przekazać jej głęboki ukłon i postać mrugnięcie.

Geloe wywróciła oczami. Niektórzy ze złodziei stali się okropnie zadziorni.

Mimo wszystko to właśnie oni byli jej główną klientelą. Towar jaki wystawiała na sprzedaż niewiele miał wspólnego ze świętowaniem. Kupujący szukający jej pomocy napędzani byli desperacją, chęcią zemsty lub ambicją. Geloe oferowała im pomoc w spełnieniu

pragnień, żądając w zamian ogromnych sum. Każda z jej masek bowiem wykonana była na zamówienie i była w stanie obdarzyć noszącego niezwykłymi umiejętnościami. Plotki zbójniczego światka opowiadały o zwiększonej sile, zabójczym oddechu, wzroku i zwinności kota. Odporności na trucizny, pewności siebie lub czaru osobistego.

Nikt do końca nie był pewien owych pogłosek, lecz jasnym było, że jej klienci szybko wspinali się po szczeblach władzy. Prawdą było, że równie szybko potrafili ze szczytu spaść, gdyż Geloe nie odmawiała pomocy nikomu tak długo, jak był jej w stanie zapłacić.

Dlatego też kobieta nie zawahała się ani chwili, gdy na ladzie jej kramu wylądowała gruba sakiewka, a po chwili jej śladem poszły ramiona pewnego przystojnego młodzieńca.

– Czym mogę służyć? – zapytała, odpowiadając uśmiechem na spojrzenie posłane jej spod złotych loków.

Był młody, ubrany w srebrny strój, w którym zlewał się skutecznie z resztą tłumu, a w dłoniach obracał wysadzaną brylantami maskę. Opierał się o jej kram ze swobodą, co skutecznie podpowiedziało kobiecie, że o niej nie słyszał. Był też niezwykle pijany. Towarzyszył mu zamaskowany chłopiec, który z większym respektem zerkał na otaczające ich upiorne oblicza.

– Potrzebuję maski! – zachichotał mężczyzna

– Coś nie tak z obecną? – spytała Geloe, kładąc jednak dłoń na sakiewce pod baczny spojrzeniem dziecka.

– Zbyt znana – mruknął złotowłosa chwiejąc się lekko – Zbyt babska. Wszyscy mają mnie za lalusia, pajaca. Za malowaną marionetkę pod władzą rządu! – ścisnął w rękę brylanty, lecz jego towarzysz delikatnie wyjął mu maskę z rąk.

Z podobieństwa rysów kramarka wyczytała, że muszą być braćmi, choć twarzy młodszego dodawało lat zmartwienie. Wbrew sobie poczuła liznięcie współczucia, lecz szybko otrzeźwiła zdawszy sobie sprawę ze słów klienta. Marionetka rządu? Może przybysze byli o wiele bardziej cenni niż sądziła?

– Ojciec nigdy nie daje mi wolnej ręki – ciągnął starszy. – Uprzedził wszystkich jak będę wyglądał. Zaprzysiągł krawców. – Spojrzał nagle w twarz Geloj próbując skupić na niej wzrok.

– Lecz ty nie pracujesz dla ojca?

– By wykonać maskę potrzebuję twego imienia – zamruczała słodko kobieta.

Na moment twarz tamtego zmarszczyła się, lecz szybko wypuścił swe imię, niepomyślny na protest brata. Geloe przywołała na twarz swój najłagodniejszy uśmiech wołając do siebie chłopca. Odliczyła z sakiewki kilka monet i podała mu, radząc by posadził brata na ławie i pobiegł kupić mu wody, podczas gdy ona wykona maskę. Chłopak zerknął na nią nieufnie, lecz zrobił jak radziła.

Geloe wycofała się z za lady wchodząc w głąb wozu. Zasłoniła okna, blask bijący ze szczelin w deskach wystarczył jej za oświetlenie. Podeszła do stołu i usiadła na zydlu otoczona tysiącami szufladek i komódek pełnych ozdób.

– Cóż za klient na mnie czeka – zachichotała, a pod jej zręcznymi palcami kawałek sosnowej belki stał się miękki niczym glina, gdy formowała z niego bazę pod maskę. – Iście królewski! – Dodała, wplatając między sęki złote nici i karminowe wzory.

Przedmiot powoli nabierał kształtu, gdy nadawała mu wygląd młodzieńczej twarzy ze złotymi rzęsami i diamentowymi łzami w kącikach oczu. We wnętrzu wyrósł mech, który po chwili zmienił się z miękki plusz koloru purpury. Geloe wzięła bezduszną maskę w ręce i zaczęła jej opowiadać o młodym księciu, który ją dziś odwiedził, jaki to jest nieszczęśliwy i osaczony, zamknięty we własnym pałacu.

Szeptala masce jaki był zdesperowany, lecz odważny by przyjść do niej, i jaki będzie w przyszłości. Jaki silny, podatny na pokusy. Jakże niezaspokojony i pełen ambicji, których nie odziedziczył po ojcu. Opowiedziała jej, jak gnany potrzebą potęgi trafi w końcu na ślad czarodzieja z Velladorfu, który pokaże mu drogę, która zaprowadzi królestwo na skraj rozpadu. Roztoczyła przed nią wizję przyszłości, gdzie młody cesarz zatruje się w końcu swoimi rządami, zostawiając imperium w rękach czarodzieja, który wraz ze swoją wierną służką przejmie władzę.

A kiedy maska drżała już cała od pragnień i ambicji, a ręce Geloj straciły swój czar i znów stały się stare i wykrzywione, wiedźma podniosła swoje dzieło i wyszeptala imię księcia w puste usta maski. Zadrżawszy, przybrała ona rysy księcia, lecz dziwacznie niepodobne, wykrzywione.

Odstawiwszy maskę na ladę, tak by klient znalazł ją natychmiast po powrocie, Geloe wróciła do zacisza wagonu.

Jej mistrz będzie zadowolony. Trzecim okiem widziała już nici przeznaczenia splatające się pod jego modłę, gdy księżę założy zaklętą maskę.

Na przeszkodzie stał im jedynie nieufny brat księcia, lecz minie wiele lat nim zda sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Wiedźma była cierpliwa, czekała na swą zemstę już tyle stuleci. Czymże więc było dla niej kilka dekad?

Kinga Glanc – Przemiana

– *W taką noc odrzuć twarz, i stań się maską!* – słowa starej piosenki płyną przez osadę. Blask w każdej parze oczu i ledwie powstrzymywane uśmiechy zdradzają myśli każdego z mieszkańców. To już dzisiaj.

Dzisiaj żona krawca założy maskę, której delikatne wzory wyszywała godzinami, nie bacząc na ból palców. Zamieni spracowane dłonie na skrzydła i wzniesie się ku niebu, na które codziennie tęsknie spogląda, gdy sądzi, że jest sama. Na jedną noc zapomni o obowiązkach, szybując wśród skąpanych w srebrnym blasku obłoków. Zawsze zastanawiało mnie, jak istota tak oczywiście stworzona by przemierzać przestworza mogła urodzić się bez skrzydeł.

Dzisiaj stary rybak wyciągnie z kufra maskę z błyszczących łusek swoich zdobyczy. Tak jak co dzień zanurzy się w chłodnej, przejrzystej toni, lecz tym razem nie rozproszą go sieci do napełnienia, nie ograniczy kończące się w płucach powietrze czy naznaczone wiekiem ciało. Popływie tak głęboko i tak daleko jak tylko zechce.

Dzisiaj córka młynarza po raz pierwszy dołączy do święta z maską z koralików i liści. Jako wilk pobiegnie przez las, rozkoszując się zapachami, o których istnieniu nie miała pojęcia. Jej wycie wstrząśnie całą doliną, jednak ten jeden raz nie będzie obok nikogo, by powiedzieć jej, jak ma się zachowywać.

Jedna noc masek i magii. Jedna noc skrzydeł, płetw, łap i zapomnienia jakie oferują.

Jednak ta wolność nie jest dla mnie.

– *Już to przerabialiśmy, Ni. Nie możesz z nami świętować. – Peter nieudolnie próbuje ukryć swoje rozbawienie.*

– *Wiem, wiem! – Naburmuszona dziewczynka sięga po kolejną porcję jagód. – Nie mam piętnastu lat, więc zabrania tego pierwsza zasada. Tak jak druga zabrania przemiany w inną osobę. Ale wcióż...*

Jej następne westchnięcie jest tak przesadnie dramatyczne, że razem z jej bratem ledwo powstrzymujemy się od śmiechu.

– Te pięć lat minie szybciej niż sądzisz – uspokajam ją. – A później zrobię ci najładniejszą maskę w całej wsi .

– Obiecujesz?

– Doprawdy, Ni! Jakby którykolwiek z nas cię kiedyś okłamał! – Peter kręci głową z udawaną urazą. Jest to widok tak komiczny, że rozmowa zostaje szybko zapomniana, zastąpiona śmiechem i żartami.

Nie mam rodzeństwa, ale w takich chwilach, gdy jesteśmy razem, skąpani w promieniach słońca z palcami poplamionymi jagodami, równie dobrze mógłbym je mieć.

Z bijącym sercem przemykam między cieniami kierując się w stronę lasu, z dala od kolorowych lampionów i girland z kwiatów. Nie potrzebuję światła, które by mnie prowadziło.

Znam drogę aż za dobrze.

– Thomas? Idziesz z nami nad rzekę?

Podnoszę wzrok znad płótna, porzucając na chwilę zwiewne obłoki, morze gwiazd i las, równie tajemniczy co pociągający w mroku nocy. Cuda widziane wczoraj z lotu ptaka mogą domagać się uwiecznienia, lecz w tej chwili Nina ma moją całkowitą uwagę.

– Nie, Nino. – Przeciagam się, rozkoszując się przyjemnym zmęczeniem wywołanym wczorajszą transformacją. – Nie dzisiaj.

Rzeka wita mnie delikatnym pluskiem wody. Spokojna, oświetlona blaskiem księżyca wygląda jak niekończąca się srebrna wstęga. Kiedyś ten znajomy widok przynosił ukojenie.

Teraz nie potrafię go znieść.

Krzyk. Rozdzierający skowyt, który wciąż prześladowuje mnie w snach. Ze ściśniętym gardłem desperacko przedzieram się przez tłum. Czyjeś ręce próbują mnie powstrzymać. Odtrącam je. W mojej głowie jest tylko jedna myśl: muszę się tam dostać. **Do nich.** I wtedy to widzę. Widok, który zostanie ze mną do końca moich dni.

Nina, próbująca wyrwać się z uścisku swojego ojca. Ze splątanymi, mokrymi włosami, zalaną łzami twarzą i krzykiem na ustach przypomina bardziej jakieś upiorne widmo niż dziecko.

Peter, jego ciało blade i nieruchome. **Martwe.**

– Porwał go prąd – ktoś szepcze. – Nie mogła go wyciągnąć.

Ja mógłbym.

Drżącymi dłońmi rozwijam zawiniątko, ukryte wcześniej między korzeniami starego drzewa, by odsłonić puste, zielone oczy maski.

Gdy w końcu odkładam pędzel i spoglądam na swoje dzieło, maskę o twarzy osoby, którą nazywałem bratem, czuję jedynie mdłości. Odwracam głowę, nie mogąc znieść widoku martwych, namalowanych oczu.

Co ja wyrabiam?

Mój wzrok wędruje do innej maski, motyla koloru zachodzącego słońca, która leży po mojej prawej, a której Nina tak bardzo kiedyś pragnęła. Dzisiaj, gdy ją przyniosłem nawet na nią nie spojrzęła, patrzyła jedynie w przestrzeń oczami, które stają coraz bardziej przerażająco podobne do tych, które właśnie skończyłem malować.

To, co zamierzam jest odrażające. Jednak jak mam dalej patrzeć, jak Nina zbliża się do otchłani, z której nie ma już odwrotu? Jak mam spoglądać na twarze jej rodziców, tych samych, którzy zawsze spieszyli mi z pomocą odkąd zostałem sam tyle lat temu?

Siedziałem spokojnie w domu, zajmując się własnymi sprawami, gdy Peter potrzebował mojej pomocy.

Jak mam zrobić to samo Ninie?

Ogród na skraju osady wita mnie delikatnym zapachem róż i lili. Nina już tam na mnie czeka. Na mój widok w jej zwykle pustym spojrzeniu pojawia się jakaś iskra, drobne światełko w ciemności.

– Peter!

– Peter, Peter! – Nina powtarza w kółko imię brata, ściskając kurczowo materiał mojej koszuli, jakby próbowała się upewnić, że wszystko jest prawdziwe. – To naprawdę ty?

– Oczywiście Ni. – Głaszczę jej włosy, tak jak robił to prawdziwy Peter.

– Obiecujesz? – pyta jakby znów była dzieckiem.

– Doprawdy, Ni, jakbym kiedykolwiek cię okłamał... – wyszeptuję przez zaciśnięte gardło.

– Dlaczego? – Nina pyta, delikatnie gładząc jasnoróżowe płatki róży. – Dlaczego nie wolno nam rozmawiać częściej niż raz w roku?

– Już to przerabialiśmy, Ni... – zaczynam, wdzięczny za kwiaty, które odwracają jej uwagę. Kłamstwa przychodzą łatwiej, gdy nie patrzę jej w oczy.

– Wiem... wiem! – Przez chwilę wydaje mi się, że Nina zacznie znów płakać. – Tłumaczyłeś mi to, tylko magia Nocy Masek pozwala ci na powrót, ale... ale... To tak boli, Peter...

– Wiem, że to trudne, Ni... Ale musisz spróbować, żyć nawet gdy mnie nie ma obok. – Biorę głęboki wdech, szykując się do kolejnych słów, które muszę wypowiedzieć, do drobnej cząstki prawdy, z której wyjawieniem zwlekałem zbyt długo, a do której muszę ją przygotować. – Zwłaszcza, że nie wiem jak długo jeszcze dam radę do ciebie przychodzić.

Efekt moich słów jest natychmiastowy, Nina z przerażeniem w oczach rzuca mi się na szyję.

– Ni... – próbuję zacząć, ale ona nie pozwala mi na to.

– Daj mi jeszcze rok! Tylko rok! Proszę! Dasz mi jeszcze jeden rok, prawda? – szlocha.

– Oczywiście – szepczę.

W końcu czym jest jeszcze jedno kłamstwo?

Wschód słońca zastaje mnie znów nad rzeką. Gdy pierwsze promienie muskają moją skórę, maska spada, a ja padam na ziemię wyjąć z bólu.

Mam wrażenie, że coś rozrywa moje ciało od środka. Gorączkowo rozdieram koszulę i własną skórę jakby miało to coś zmienić. Mogę tylko bezsilnie patrzeć jak czerń znacząca moją pierś rozchodzi się jeszcze dalej.

Wszystko ma swoją cenę. Moje zbrodnie domagają się tej najwyższej.

Gdy czuję krew zalewającą moje gardło, zaczynam płakać. Ale nie nad swoim losem.

Płaczę nad starszym bratem, którego nie uratowałem.

Płaczę nad utraconym uśmiechem Niny.

Płaczę nad małżeństwem, które miało dwójkę dzieci, wychowało trójkę i każde z nich w jakiś sposób straci.

Ale przede wszystkim płaczę nad swoim kłamstwem, i tym co stanie się, gdy za rok nikt nie pojawi się w ogródku Niny.

Anna Koralewska – Honor

Honor nie wiedział, że przyjdzie mu umrzeć.

Ostrze musnęło jego szyję, z cichym młaśnięciem rozcinając tkanę.

Co do zasady był nieśmiertelny.

Krew ochlapała mu buty.

W mroku, nieregularnie rozświetlanym błyskami pulsujących latarni, smugi na butach miały odcień jednej z wielu czerni. Przypomniat sobie, że sam je dzisiaj pastował. "Będą się lepić" – pomyślał zanim upadł na kolana.

Kolejne cięcie rozplatało mu brzuch.

Przyłożył do niego dłoń. Czując jak lepki płyn przelewa się przez jego palce, otworzył szerzej oczy, z niedowierzaniem wznosząc je ku postaci przed sobą. Już jej tam nie było.

Ostrze wbiło się w jego plecy, przecinając kręgosłup i przebijając dłoń przyciśniętą do brzucha. Broń paliła zimnem. Wrażenie dziwne i dojmujące jednocześnie.

"To bezcelowe" – chciał powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle, z którego szybkim strumieniem wypływała krew.

– Już czas – usłyszał. – Byś powstał.

Potem narastające dzwonienie w uszach zagłuszyło wszystko, a wzrok pochłonęła czerń – nieprzenikniona, miękka i lepka niczym krew na butach Honoru. Czuł ból wypełniający jego ciało z nieubłaganą siłą. Kiedy ból minął, zorientował się, że jest martwy.

Gdy umarł Honor, upadł jeden z filarów podtrzymujących Świątynię, a świat zatrząsł się w posadach. Kolos oparty na mieczu z głuchym łoskotem rąbnął o marmurową posadzkę. Część dachu rozpadła się wraz z nim, żałośnie pogruchozana. Upadek innych był kwestią czasu. Honor nie był najważniejszy, ale świat go potrzebował. Trudno było przewidzieć, kto będzie następny – oczywiste było jedynie, że Świątynia nie mogła trwać bez jednego ze swoich filarów. Potrzebne były wszystkie.

– Możesz odzyskać swoje życie – powiedziała z uśmiechem – jeśli przed świtem znajdziesz i zabijesz jedną osobę. Życie za życie. To uczciwa wymiana. – Wyciągnęła w jego stronę miecz, którego ostrze pokrywał lód, a wewnątrz gorzało ogniem.

Próbował dźwignąć się w górę, ale ciało nie chciało go słuchać. Niewiele rozumiał.

– Czemu... – rzekł. – Czemu to zrobiłaś?

– Martwi nie mogą umrzeć. A martwe Filary są silne, więc... zatrzymałam cię po tej stronie na jakiś czas. Weź to. – Wręczyła mu miecz. – Musisz zabić ją tym samym ostrzem, które zabiło ciebie. Gdy jej krew spłynie po ostrzu, wróci do ciebie twoje życie.

– Gdzie ją znajdę? – Zapytał, biorąc broń do rąk.

– W twierdzy na zachód stąd. Zabiorę cię tam, żebyś nie tracił czasu. Osoba, którą masz zabić, jest dobrze chroniona. Dobrze, ale nie doskonale. Sądzę, że dasz radę.

– A to? – dotknął palcami twarzy, którą pokrywała gładka maska.

Roześmiała się.

– To akurat jest ci bardzo potrzebne. Jesteś teraz ciemnością, która przenika wszystko. Jako ciemność wślizgniesz się za mury i zabierzesz życie tej dziwki.

Honor spróbował zebrać myśli. Szło mu to dość opornie, ale może właśnie tak wygląda myślenie tuż po śmierci. Do tej pory nie miał okazji się przekonać. Martwy był pierwszy raz w życiu. Twierdza na zachodzie oznaczała królewski zamek. A dziwka oznaczała zapewne...

– To będzie zdrada – wyszeptał wstrząśnięty.

– Lepiej być Zdradą na jedną noc niż być martwym. Chcesz przecież żyć, prawda?

– To jakiś absurd. Jestem Honorem. Nie będę wślizgiwał się jak złodziej, żeby mordować kobiety – w głębi Honoru narastała irytacja.

– No nie wiem, nie wiem... – pokręciła głową postać w płaszczu. – Ona zdradziła swojego męża, swój ród, i swój kraj. Karą za to jest śmierć. Publiczny proces trwa długo i nie oszczędzi jej wstydu – co może zrobić cicha śmierć w czterech ścianach własnej komnaty. Lepiej dla niej. Lepiej dla królestwa.

– Królestwo radziło sobie z poważniejszymi wstrząsami niż małżeńskie zdrady. Podaj mi lepszy powód, jeśli chcesz, bym ci pomógł.

– Pomógł? – Uniosła brwi. – Sądysz, że ktoś, kto potrafi zabić Honor, nie poradzi sobie z dziewiętnastoletnią dziewczyną? – Wycelowwała w niego jeden z palców smukłej dłoni. – Zrób to raczej dla siebie. Dla istoty, której ci tak żal... ale przede wszystkim, dla świata. Zadaj sobie pytanie, jak będzie wyglądał świat pozbawiony Honoru? Czy Odwaga bez Honoru może w ogóle istnieć? Może twój przyjaciel właśnie umiera? Jesteś przecież martwy. – Podeszła do niego i położyła mu dłoń na piersi. – Czujesz bicie serca? – Przechyliła głowę na bok i zmrużyła oczy. – Ja też nie. A przecież bardzo chcesz je znów usłyszeć.

To była prawda.

Bardzo tego chciał.

Bicie jego serca było sprężone z rytmem serc innych Filarów. Wypełniało go życiem, wracało echem ich życia. Wiedział, gdy cierpią, gdy pragną, gdy kochają. Określało go, a ta kobieta doskonale o tym wiedziała. Nie mógł ich zostawić. Byłoby to sprzeczne z całą istotą Honoru. Oparł się na mieczu i dźwignął w górę. Nie czuł strachu, tylko niesmak i zimną pewnością tego, co nieuchronne. Ciężko mu, ale nie jemu pierwszemu i nie ostatniemu.

– Zabierz mnie tam. Teraz.

W zielonych oczach zatańczyły płomienie. Otuliła go czarnym płaszczem i razem zniknęli w mroku. Po chwili stali już na szczycie jednej z wież twierdzy. W następnej sekundzie został sam.

Honor spojrzał w dół. Wysokość zapierała dech w piersiach. Uśmiechnął się lekceważąco i skoczył. Impet sprawił, że kamienne bloki popękały, a spojrzenia straży zwróciły się na niego. Kilka chwil trwali z wyrazem osłupienia w oczach. Tyle wystarczyło, by dźwignąć się w górę, rozprostowując ciało z grzechotem zrastających się kości. Potem rzucili się na niego całą gromadą. Po paru minutach zostawił za sobą stos ciał i ruszył szukać pani tego zamku. Dalej nie było już tak łatwo. Odkrył jednak, że słyszy ich myśli. Nauczył się to wykorzystywać, ściągając rycerzy w inne miejsce i przemykając się pustymi korytarzami. Widzieli go takim, jakim chciał, by widzieli. Budził w nich nadzieję i pozwalał jej umrzeć. Był Zdradą. Szedł do przodu, a ciemność kroczyła wraz z nim. Tak, jak mówiła. Mimo to czas płynął, a on mimo upływających

godzin nie mógł jej znaleźć. Wszyscy milczeli. Co gorsza, milczały również ich myśli. Zupetnie, jakby królowa nie istniała. Wyczuwając w tym silną magię zrobił wszystko, by pokonać iluzję. Otwierał każde drzwi, każdą szafę. Badał każdą ścianę i każdą podłogę. Wreszcie trafił na pustkę, a za nią był pokój.

Tam ją znalazł.

Ogromne zielone oczy wpatrujące się w niego z dzikim, pierwotnym przerażeniem. Dłonie przyciskające do piersi drobne ciało byle jak owinięte płótnem, zaplamionym krwią i mazią. Zaskakująco małe rączki zaciśnięte kurczowo na poplamionej sukni. Cisza. Zaskakująca, głęboka cisza. Honor zastygł w bezruchu, nie mogąc oderwać spojrzenia od noworodka. Zrobiło mu się niedobrze. Czuł w dłoni pulsowanie miecza, który łaknął jej krwi. Najwyraźniej spóźnił się odrobinę. Teraz powinien zabić też to dziecko. Prawda? Miecz nie był pewny i zapulsował. Honor z kolei nie był pewien czy potrafi. Był w końcu Honorem, do cholery! Był, czy już nie? Maską Zdrady paliła mu twarz. Najgorsze było jednak to, że słyszał jej myśli. Uderzały go odwagą i determinacją. Mógł je wykorzystać, by zabić ją w tej ciszy. Był przecież teraz Zdradą, a Zdrada by to zrobiła. Stał w miejscu tracąc cenne minuty i czując, jak cel oddala się od niego w zastraszającym tempie. Mówiła mu o tym ciemność, która zaczynała ustępować szarości.

Nad twierdzą wstawał świt.

Krzysztof Przetacznik – Czerwona figura

– Mody, cieplej skórki! – Huknął Oibas, rzucając na ziemię pęknięty nóż. Reszta ostrza lśniła w popołudniowym słońcu, ledwie wystając z karku elfa wpatrującego się pustymi, martwymi oczami w nicość. – Żech nóż połamał, psizgon, na tym ucholcu.

Za węglą wychylił się spocony, barczysty krasnolud, którego opalone dłonie zbroczone były krwią. Przysiadł na zydelku i splunął w stronę zwłok, jednocześnie poprawiając na ramieniu postrzępiony kawałek czerwonego materiału.

– Tatko, słuchej... – zaczął mężczyzna, dysząc jak miech kowalski. – Raśnie nam młyn hajcują! A stary Frema kupa zbiera, bo Sendzie zaś przyjechali!

Dłonie Oibasa niemal natychmiast zacisnęły się na styliisku siekiery. Przesunął po nim palcami, czując się tak, jakby witał swojego dobrego przyjaciela. – Wstowej, mody. Oboczmy wielaś się nauczył bez te ostatnie dwajścia wiosen. – Zawahał się na chwilę, po czym chwycił zwłoki za kołnierz i wyrzucił je poza mieszkanie. Martwy elf bezwładnie przetoczył się na plecy, przyniatając pojedyncze kępki trawy pod sobą. Młodszy krasnolud oderwał wzrok od kawałka jego ulubionego noża dostrzegając ruch, daleko, na krańcu drogi. Sędziowie, co najmniej pięciu. W tradycyjnych, karmazynowych płaszczach i rynsztunku rozjemczym. Obrońcy. Opiekunowie. Mentorzy. Obracający w dłoniach ciężkie buzdygany będące symbolem ich roli.

– Oibas! Ingo! Chodźta tutaj! – Ostry krzyk dosięgnął uszu wieśniaków. Z sąsiedniego budynku wychyłała młodziutka, pulchna elfka z długim nożem w dłoni.

– Trza Raśnie prać! Sędzie tak...

– Sędziowie tak zawołali, tak będzie! – Przerwał jej donośny, znajomy głos. Zbieranina przeszło czterdzieścioro elfów, ludzi, krasnoludów, gnomów i wszelkich ich mieszanin, uzbrojona w rozmaite narzędzia rolnicze, noże, czy zwyczajne, sękaty kije. Cała gromada miała na sobie skrawki czerwonego materiału, nieregularnie przyozdobione złotą nicią – czy to na ramionach, czołach czy przy pasie. Deag, stojący na czele, przerzucił sobie skrwawioną łopatę przez ramię i kontynuował. – Myśmy się trzymali z boku od tej wojny. Najzdz to jedno ale, psizgon, nie będą nam tu wsi demolować! – Jego akcent był wyraźnie słabszy, nietutejszy. Jednak tłum nie słuchał najmądrzejszego, lecz najgłośniejszego wśród swoich – a Deag umiał przekrzyczeć każdego, a swą pulchną, elfią sylwetką wydawał się górować nad resztą wieśniaków. Tłum zebrał się wokół, witając krasnoludzką rodzinę i elfkę zdawkowymi skinieniami głowy i szeptałymi pozdrowieniami. Kupiec zaskakująco zwinnie wskoczył na skrzynkę i kontynuował swoją wypowiedź.

– Sędzia to brat, ale i ojciec! A skoro i brat, i ojciec idą na wroga chronić naszej wsi, to cośmy tu? Pomóc trza! Młyn gorze, to trza nam iść tam! Wszyscy, kupą, naszych bronić! – Darł się rozgorączkowany, a jego pulchne policzki podskakiwały w rytm wyrzucanych z ust słów. Tłum potakiwał wzburzony, wreszcie wybuchając gardłowym okrzykiem. – Rznąć Raśnie! Rznąć!

Krzyknął z nimi też i Oibas. Wrzawa, nierówne dudnienie stóp zmieszane z tętnieniem kopyt, gdy Sędziowie ruszyli w stronę Zadrzewia po drugiej stronie rzeki, machając do nich szkarłatnym proporcem. Krasnolud niejedno w życiu przeżył, ale zawsze był stąd – Oibas, rolnik z Zawodzia. Nigdy nie czuł się częścią Stennu ani poddanym barona. Ale teraz, gdy wszyscy jego sąsiedzi, ci lubiani i ci, których nie cierpiał, rzucili się by bronić Zawodzia przed najeźdźcą – nie mógł się powstrzymać. Nie był zwyczajnie Oibasem. Tego dnia był częścią czegoś większego. Był z Zawodzia, był towarzyszem Sędziów, a co najważniejsze – wrogiem każdego, kto nie nosił czerwieni.

– RŻNAĆ RAŚNIE!

– To nie twój wuj wygrywał bitwy, tylko cały jego sztab. Zwycięstwo gwarantuje nie męstwo i rycerskość, tylko dobre buty i rozplanowane dostawy żywności.

– I dlatego...

– Tak, dokładnie dlatego. Nie liczy się dla mnie to, jak dobrze znam oficerów jako kamratów. Gdy przychodzi co do czego, to wszyscy i tak zrzucamy z siebie osobowość i stajemy się figurami na planszy. Według jasnych zasad, każdy ma swoją rolę, każdy ma swoje zadanie. A w skali bitwy nieistotne jest dla mnie, czy na prowadzącego szarżę wołają Liog czy Ysberin. Dla mnie liczy się, że ludzie go słuchają. – Gęsty dym uciekł przez nos, wypełniając namiot aromatycznym dymem, leniwie sunącym w blasku świecy. – Na sentymenty przyjdzie czas, gdy tylko nie będziemy siedzieć na rozżarzonych węglach wojny. Tak, kazałam wyróżnić Sędziów. Tak, kazałam wykopać dla nich mogiłę i ich spalić. Tak, to na mój rozkaz nasi Onncheic, przebrani w ich uniformy, jeżdżą po okolicy i agitują wsie. – Tagwen poprawiła kosmyk kruczoczarnych włosów, który opadł jej na czoło, gdy zaciągała się fajką. Odchrząknęła, gładząc się po swoich krótkich, gęstych bokobrodach. Jej syn poprawił się na poduszce ze wzrokiem twardo wbitym w herb Stennu wyszyty z tyłu namiotu.

– Czyli mam do ciebie mówić „pani generał” zamiast „matko”? – Spytał zgorzkniałym tonem, obracając w dłoni pancerną rękawicę. Spojrzał jej prosto w oczy napotykalając hardość przeplatanej matczyną życzliwością.

– Kochanie. – Uśmiech zagościł na jej ustach, gdy tylko wypuściła z nich kolejną porcję szarawego dymu. – Dzisiaj... dziś tworzymy historię, górnolotnie mówiąc. Nie potrzebujemy Sędziów, żeby pokonać Rassnean, nie potrzebujemy nawet tych band wieśniaków. Ale Sędziowie są symbolem. I tego właśnie nam potrzeba. – Ciągnęła stonowanym głosem, obserwując jego reakcję. Podniosła się i odłożyła żarzącą się fajkę na stolik, obok wielobarwnej mapy usianej rozlicznymi figurkami. – Rassneanie są zupełnie jak my. Narodem pełnym historii przeplatanej spotkaniami wielu ras i pochodzeń. Dla żołnierza nieistotny jest powód wojny, ale jeśli zobaczą swój autorytet? Sędziów, symbol honoru i bezstronności, stających do walki? – Zawiesiła głos, patrząc na swojego syna. Był dużo wyższy od niej, co zawdzięczał domieszce elfiej krwi, w przeciwieństwie do jej czystego, krasnoludzkiego rodowodu, a jego ryszunek bojowy jedynie to podkreślał.

– Rozumiem. Nie zgadzam się... Ale rozumiem. Matko. – Dodał, przykładając dłoń do piersi i zginając kark. Tagwen podniosła ze stolika pojedynczą figurę i obróciła ją w palcach, przyglądając się wymalowanemu na niej szkarłatnemu proporcowi, po czym odłożyła ją z powrotem, wbijając wzrok w swego syna.

– Znasz plan. Znasz rozkazy. Wiesz, dlaczego to robię. Dlatego, że dziś nie jestem matką, tylko generałem armii Stennu. – Patrząc mu w oczy, pstryknęła palcami przewracając tę samą figurę, która z cichym szurnięciem potoczyła się po planszy. – Dlatego, gdy tylko zacznie się szturm, twoja artyleria ma zmieść z powierzchni ziemi Zadrzewie, gdzie nasi przebierańcy mają rozkaz się okopać. Jeśli nie będzie po nich śladu, to możliwe nawet, że nikt się nie dowie. A my... – Powiedziała, przesuwając drobną dłońią po jego napierśniku. – Będziemy znowu sobą. Tagwen i Mabon. Matką i synem. A teraz ruszaj, na pozycję. Dziś, kapitanie, jesteśmy jedynie tytułami w służbie wyższej sprawy.

– Obyśmy nie zostali jedynie tytułami.

Krasnoludka zadrzała, słysząc jego głos mieszający się z chrzęstem pancerza. A może było to jedynie chłodne, wieczorne powietrze, które wpuścił do namiotu, gdy wychodził.

Jakub Cudziło – Szukając wampira

- Czasem naprawdę lubię tę robotę. – Pomyślał Ławrak siedząc przy stoliku. Sącył z kielicha wino z dobrego rocznika, słuchał przyjemnej muzyki i obserwował gości, snujących się po parku w tę i z powrotem. Nigdzie mu się nie spieszyło.
- Długo jeszcze będziesz tu siedział? – Usłyszał chrapliwy głos swojego mocodawcy. Westchnął. Nie spieszyło mu się prawie nigdzie. Prawie...
- Wasza Mość pozwoli, że dokończę wino.

Jego Mość pozwoliła, ale dopijanie resztek trunku nie było tak przyjemne jak pierwsze łyki. Obejrzał się na swojego pana – mocno zbudowanego likantropa, którego wszyscy, z racji zwierzęcia, w które się przemieniał, zwali Knurem Arturem. Co śmielsi dodawali, że pochodził z chlewu Camelot. Zważywszy na dbałość o porządki w zamku nie odbiegało to dalece od prawdy. Dookoła okrągłego stolika siedzieli wraz z królem jego rycerze. Nawet zza balowych masek wszystkim widać było wystające ze szczęki dzicze kły. Agent rzucił jeszcze tęsknym spojrzeniem w stronę karafy, westchnął ostatni raz i ruszył w tłum.

Swój pierwszy cel znalazł szybko. Konara, zwanego Barbarzyńcą, znaleźć było łatwo. Trudno jest ukryć się trzymetrowemu drzewcowi. Nie pomógł mu w tym nawet strój, w którym nawet mimo dużej dozie dobrej woli nie mógłby zostać wzięty za krasnoluda. Maską ze sztucznymi wąsami wyglądała przynajmniej komicznie.

- Witaj Konarze!
- Zawsze tak mocno się konspirujesz? – Spytał z przekąsem drzewiec.
- Też się cieszę, że cię widzę. – Agent zbył narzekania Barbarzyńcy. – A jak już jesteśmy przy pracy... czternastego dnia po przesileniu spadł różowy śnieg w Darbador, czy w Servaoile?
- Nie różowy, a amarantowy.
- Z amarantowych gruszek robią u nas wspaniałe wino.
- Wolę nalewki.
- Coś jeszcze tam było? A tak! Widziałeś... poczekaj, jak to było... czy... o, pamiętam! Czy widziałeś wpływający dziś do portu statek?
- Tak. Wysiadło z niego szesnaście małp i słoń na szklanych nogach.
- Uffff... nie znoszę tych formalności. – Odetchnął Ławrak. – Dobra, to masz tę przesyłkę?
- Jasne, że mam. – To mówiąc ent odgarnął będącą częścią stroju pelerynę odstaniając dziuplę w swoim drewnianym ciele. Sięgnął tam ręką i po chwili wyciągnął z otworu mały, podłużny pakunek. – Rozumiem, że wiesz komu masz to przekazać?
- Wiem.
- Dobrze, powodzenia więc.
- Dzięki i do zobaczenia.

Ławrak powtórnie zaszył się w tłumie.

- Jak to strój zmienia to, jak ludzie cię postrzegają... – Zaczął rozmyślać agent chodząc po parku i bacznie obserwując wszystkich dookoła. I ot, gdyby był sobą, ta parka już dawno kazałaby mnie wsadzić do lochu, a w tej chwili zapewne wisiałbym już na pierwszej z brzegu gałęzi. A tak mogę przejść obok i ani Robin Chłód, któremu winny jestem więcej złota niż sam ważę, ani Królowa Śniegu nie widzą mnie. Bo nie jestem teraz Hansem Meinigelem, a Ławrakiem. Anonimowym gościem tego balu przebrany za pierrota, z płaczącą maską zamiast twarzy. Ostatecznie w mojej pracy muszę na pewien czas odrzucić twarz i stawać się dla ludzi maską, którą widzą. Zwłaszcza, że często bywa to o wiele bezpieczniejsze.

W umówionym wcześniej miejscu, w altance w rogu ogrodu, znalazł tylko ukrytą wiadomość: "Znajdź słynnego WAMPira". Ławrak zaczął się zastanawiać. Każdy wiedział, że najslynniejszym wampirem i legendą wśród krwiolubnego ludu był Drakula, ale z tego czego zdążył się wcześniej wywiedzieć, nie był on na liście zaproszonych. Postanowił się jednak upewnić. Odnalazł swojego rezydenta w posiadłości. Był nim Chory Portier – były uczeń magicznej sztuki, który za wielokrotne łamanie regulaminu i stwarzanie zagrożeń dla innych uczniów został wyrzucony ze szkoły i znalazł tutaj posadę, jak miano wskazywało, recepcjonisty. Przy akompaniamencie kichania i kaszlenia rezydenta zajrzał do listy zaproszonych, lecz mimo studiowania listy nie znalazł tam żadnego z poszukiwanych przez niego nazwisk. Nie było tam ani Drakuli, ani Cassidy'ego, ani Stjepankovičówny... nie było Nosferata, ani Batorówny... słowem, nie było żadnego ze znanych wampirów.

- Co mogła mieć na myśli? – Zastanawiał się, po raz kolejny sprawdzając altanę, w której znalazł wiadomość. – Czyżby to znaczyło, że na bal dostał się nieproszony któryś z krwiopijców, a Ułę znajdę przy nim? A może... ech... nie mam pojęcia, co ta dziewczyna mogła mieć na myśli. Co prawda nigdy nie było łatwo się z nią spotkać, ale teraz to przesada.

Postanowił znów ruszyć między gości. Siedzenie w jednym miejscu dużo więcej nie by mu nie dało, a w tłumie miał nadzieję znaleźć jakieś wskazówki. Czas mijał. Niebo zaczynało różowić się na wschodzie. Bal stracił już trochę na intensywności, lecz wciąż wielu przybyłym energii nie brakowało. Ławrakowi jednak wigor już się kończył. Od kilku godzin przeczesywał teren szukając tych cholernych hemoglobinolubów. Żadnych wskazówek jednak nie znalazł.

- Ech... Gdyby chociaż Ula ubrała się w jakiś zwracający uwagę kostium. – Mruczał do siebie stojąc pod drzewem i rozglądając się po parku. – Na przykład gdyby miała na sobie tak niepasujący strój jak Konar. Albo jakiś niebanalny, na przykład... O! Tam ktoś biega przebrany za smoka! Ha ha! Choć to w zasadzie nie smok, w końcu nie ma skrzydeł, a tylko cztery łapy, więc to nie smok tylko... ten, no... hmmm... drak! Prawie tego szukałem. Bo jakby do draka dodać...

Zamarł. DRAKula. Drak i Ula. Czyżby więc to tego szukał? Już miał podejść do postaci w tym intrygującym kostiumie, gdy intuicja agenta kazała mu się jeszcze wstrzymać. I dobrze zrobił, że się jej postuchał. Gdy drak przeszedł kawałek dalej, Ławrak spostrzegł dwie znajome postaci.

Postaci, których jednak wolałby nie spotykać. Jedną z nich był ubrany na czarno, łysy mężczyzna. Za pasem nosił dwa spore noże. Agent wiedział, że ten mężczyzna umie robić z nich pożytek. Nie bez powodu mówiono o nim "czarnoksiężnik z krainy kos". Drugą postacią był niziołek o przezwisku Bilbord lub Billboard. Podobno nazwa ta pochodziła od donośnego głosu, który wykorzystywał jeszcze jako kupiec, a który w wywiadzie pomagał mu wzbudzać panikę w tłumie. Ławrak nie wiedział, ile w tym było prawdy. Gdy jednak zoczył niziołka, nie mógł powstrzymać śmiechu. Bilbord przebrany był za księżniczkę. Strój co prawda wykonany był przyzwoicie, jednak z bosymi, owłosionymi stopami halflingów i sporym brzuszyskiem efekt był przynajmniej groteskowy.

- To jakaś komedia. – Mruknął do siebie agent. – Muszę dostać się do smoka strzeżonego przez księżniczkę. Dobrze, że chociaż nie jestem przebrany za rycerza. Dopiero by było...

Musiał coś wymyślić, aby zbliżyć się do Uli. Musiał i wymyślił. Plan nie był doskonały, ale lepszego nie miał. Znalezienie kogoś, kto zgodził się podejść do draka zajęło chwilę, ale w końcu udało mu się skłonić do tego niezbyt trzeźwego krasnoluda. Ku zdziwieniu Ławraka ochotnik rzeczywiście ściągnął uwagę wrogich agentów. Dzięki temu Hans Meinigel ominął ich i skierował się do smoka.

- Ula?

Postać aż podskoczyła i obróciła się prędko. Hans uśmiechnął się pod maską. Zgadł dobrze. Ścisnął ukryte w kaletce dwa pakunki – podłużną przesyłkę służbową i o wiele dla niego ważniejsze mniejsze pudełeczko.

- Ula, chodźmy gdzieś, gdzie obce oczy nie będą przeszkadzać w pracy. – Tu pokazał jej podłużny pakunek. – A potem... potem mam do ciebie pewną sprawę bardziej... prywatną.

Margota Kott – Jedyny wampir w mieście

Wampir Marian przebudził się z codziennego snu w plastikowej skrzynce na piach. Doskonale spełniała rolę trumny, ustawiona była w obszernym schowku na miotły w podziemiach nowoczesnego kina. To było jego królestwo! Znał każdy zakamarek. W końcu pracował tu jako nocny stróż.

Ziewnął i przeciągnął się jak kot. Włączył radio. Godzina 18. Lubił codziennie przy śniadaniu posłuchać wiadomości. Wyjął z ukrytego za metalową szafką pudła hermetycznie zamkniętą butelkę.

Ostatni posiłek skazańca – pomyślał z ulgą i, pełen odrazy, wypił zawartość duszkiem.

Spiker rzucał w eter kolejne słowa.

– Nuda, nuda – mruknął Marian do siebie. – Eh ta polityka...

Jednak kolejna wiadomość była tą, na którą czekał od dawna. Można by rzec – od wieku.

– Już dziś, w piątek 27 lipca 2018 roku, począwszy od godziny 21:30 – trajkotał spiker podnieconym głosem – nastąpi najdłuższe zaćmienie Księżyca od lat. Potrwa godzinę i czterdzieści trzy minuty. Będzie to wyjątkowa noc...

– Mam taką nadzieję, – Wampir Marian nerwowo otarł twarz wierzchem dłoni, pozostawiając purpurową smugę na policzku.

– Nie tylko ze względu na całkowite zaćmienie i powstanie zjawiska krwawego księżyca, ale również z powodu tak zwanej opozycji Marsa warto dzisiejszej nocy obserwować niebo.

Marian odruchowo spojrział w górę, lecz zamiast niebieskiego sklepienia ujrzał obłożony kartonowymi płytami obniżany sufit, z żarówkami LED zamiast gwiazd.

– Słońce, Księżyc i Ziemia znajdują się w jednej linii – kontynuował spiker. – Satelita skryje się za planetą. Nie dotrze do niego światło słoneczne w sposób bezpośredni, lecz jedynie przesącza-
jąc się i załamując poprzez ziemską atmosferę.

Najlepsze jednak zaczęło się tuż po wieczornych wiadomościach. Zaproszony do rozgłośni duchowny, jakiegoś mało znanego odłamu bardzo znanego kościoła, apokaliptycznym głosem grzmiał:

– Niezwykle zaćmienie księżyca to zły znak. Ostatni dzień ludzkości w świetle krwawego miesiąca. Zmierzch cywilizacji. Śmierć Ziemi i wszystkich jej mieszkańców. – Kaznodzieja akcentował każdą głoskę dla zwiększenia efektu. – Dziś księżyc odzieje się w czerwień niczym Król Czasów w cesarską purpurę. Bloody Moon. Hunter's Moon. Czas Apokalipsy!

– Ej tam zaraz koniec świata – wampir Marian wzruszył ramionami i wyłączył radio. Proroctwo Krwawego Księżyca postrzegał bowiem zgoła inaczej...

Łypnął na zegarek. Od wielkiego wydarzenia dzieliło go już tylko kilka godzin, a miał jeszcze do umycia kible. Stefa, jego ukochana, pięćdziesięcioletnia bileterka, która dodatkowo dorabiała sprząając kino, skarżyła się wczoraj na ból gardła. Więc nawet jeśli dotrze do pracy, nie będzie musiała sprzątać – zrobi to za nią. Z miłości. W obydwu przybytkach było czysto jak nigdy. Sale kinowe świeciły pustkami. W taką noc rzeczywistość staje się ciekawsza niż fikcja. Już miał opuścić damską ubikację, gdy nagle, przy dozowniku na mydło, ujrzał puderniczkę. Odruchowo włożył znalezione do kieszeni i pośpiesznie opuścił przybytek.

Meandry nocnych uliczek wypełniły się ludźmi. Niezmierzone tłumy kierowały się ku rzece. Stamtąd, pogrążeni w ciemnościach, będą obserwować księżyc, uzbrojeni w lornetki i aparaty fotograficzne. Marian wmieszał się w tłum. Lecz i tutaj czuł się obco. Zwłaszcza wśród ludzi. Był inny. A przecież nie zawsze tak było...

2-letni młodzieniec, o imieniu Marian, kochał książki. Mógłby nie robić niczego, tylko czytać, czytać i czytać. Była noc. Świat witał 5 dzień czerwca 1909 roku pogrążony w zupełnym mroku. Tej nocy księżyc ulegał całkowitemu zaćmieniu. Lecz chłopiec nie baczył na Lunę. Przy chybliwym płomieniu świecy przeżywał niezwykle przygody. Bez reszty zatopił się w lekturze *Le Fantôme de l'Opéra*, powieści gotyckiej Gastona Leroux. Wraz z Erykiem, zdeformowanym fizycznie genialnym kompozytorem, krył się w piwnicach Opery Paryskiej, przeżywał dziwny i tajemniczy związek z młodą solistką opery, Christine. Z upodobaniem manipulował bileterką Opery, Madame Giry, w dzień zamiatającą paryskie kamienice. Klimat grozy, potęgowany przez ciemność, odciskał niezatarte piętno na wrażliwej duszy młodego czytelnika. Zmartwiałyimi ustami powtarzał półgłosem, jak modlitwę, przejmujące niewypowiedzianym chłodem słowa: „W taką noc odrzuć twarz, i stań się maską!”. Marian, zawieszony pomiędzy światami, nie zauważył nawet, gdy przez otwarte okno wpadł nietoperz ze złowieszczym szelestem skrzydeł. I gdy krwawy Księżyc ukazał się na czarnym niebie, z szyi chłopca skapywały już krople krwi. Wampirzy pomiot bezgłośnie uleciał w ciemność, pozostawiając człowiekowi tragiczne dary – przeznaczenie, pokusę i przekleństwo.

Był jedynym wampirem w mieście. Miał 130 lat i wygląd 20-latka. Żywił się jedynie krwią zwierząt. Na ludzi nie polował. Odetchnął z ulgą, gdy zaczęto sprzedawać butelkowaną krew. Zamieszkał w podziemiach kina, niczym Upiór Eryk z ulubionej powieści. I tak jak on ukrywał się przed ludźmi i słońcem. W depresję wpędzały go słowa widzów opuszczających kino po projekcji tak modnych obecnie filmów o wampirach. Wszyscy zazdrościli wampirom nieśmiertelności. Jednakże one żyją tylko pozornie. Nie są żywe, nie są martwe, są nieumarłe. I samotne...

Wampir Marian, zamknięty w beczasowości, pragnął miłości. Pewnego razu poznał Stefę. Jej jednej powiedział kim jest. Od czasu, gdy się zakochał, nieustannie poszukiwał leku na wampiryzm. Poprosił nawet Stefę, by wyciągnęła jakieś dane od wnuczki, która pasjonowała się wampiryzmem, jak zresztą całe to dziwaczne, młode pokolenie. Z rosnącym zainteresowaniem

wstuchiwał się w opowieści o zamianie wampira w człowieka. Sposobów było kilka. Po osiągnięciu 15 poziomu wampiryzmu (co to u licha jest?) oraz 10 poziomu miksologii miał udać się do baru i zrobić sobie lekarstwo. Próbował wykonać taką miksturę, ale nie bardzo wiedział z czego i w jaki sposób. W kinowym barze można było tylko kupić popcorn w pudełkach i żelowe cukierki, a do picia Colę i inne napoje gazowane. Żadnej alchemii! Dopiero potem dotarło do niego, że mowa jest o grze komputerowej SIMS.

A teraz doszedł nad rzekę i ujrzał na brzegu niezliczone tłumy. Podobnie do pozostałych zadart głowę do góry i ujrzał księżyc w pełni, wchodzący majestatycznie w stożek cienia Ziemi. Ktoś przechodząc nieumyślnie potrącił go tak, że z kieszeni wypadła mu puderniczka, którą znalazł w kinowej toalecie. Chciał zamknąć wieczko, lecz w tym momencie bezwiednie zerknął w lustro. I oniemiał! Zobaczył bowiem, po ponad stu latach, swoje własne odbicie. Więc to nie koniec świata, to nowy początek!

– Jestem człowiekiem! – Krzyknął uradowany Marian, a stojący nieopodal ludzie pukali się z politowaniem w czoła.

Pyzaty księżyc przez chwilę przyglądał się dobrotliwie młodemu człowiekowi, fikającemu z radości koziołki na trawie, po czym łagodnie przeszedł w kolejną, fascynującą fazę. Fazę częściowego zaćmienia, schodząc z tarczy Księżyca ziemskiego cienia na kolejne sto lat.

Patrycja Petrykowska – Twarz z otworami na oczy

Szumiąc, przeszła przez przeszklone drzwi i przeszukała pomieszczenie szaro-szmaragdowym spojrzeniem. Kap, kap. Krople wody spadały na podłogę, kiedy coś, co można by nazwać głową, zwracało się raz w jedną, raz w drugą stronę. Na regałach przy ścianie ułożono w rzędach maski karnawałowe: błękitnego kota, sowę z prawdziwymi piórami, kolorowego błazna, a nawet czarną śmierć z koronkową pajęczyną. Niektóre zadziwiały wymyślnymi zdobieniami, inne hołdowały prostocie. Kap, kap. Dzieła po drugiej stronie przedstawiały natomiast ludzkie oblicza wykonane w niepokojąco naturalistycznym stylu. Maski czekające, aż ktoś ożywi ich zastygłe uśmiechy, tchnie powietrze w zimne nozdrza i pozwoli, by weszły w posiadanie jego Ja. A pośród tego wszystkiego, niczym smok w jaskini skarbów, siedziała starsza kobieta. Choć czas nie obszedł się z nią łaskawie, wyglądała niezwykle władczo.

– Witaj. Co dziś dla ciebie? – Głos staruszki zaskrzypiał jak śnieg ugniatany ciężkimi butami.

– Zaraz zobaczymy – odszemrała istota. Jej kształty nieustannie się zmieniały. Światło odbijało się od wodnego, podtrzymywanego magią gatunkową ciała tworząc niesamowite refleksy.

Zastępy fałszywych twarzy obserwowały tę scenę pustymi otworami bez powiek i bez wyrazu. Przypominały poddanych, czczących w milczeniu swoją królową, podczas gdy ta przyjmowała petenta.

Niespodziewanie padły słowa:

– Mam dość takiego życia.

– Jakiego?

– Mam dość tkwienia w tym miejscu. Jestem już stara. Chciałabym spróbować czegoś innego.

– Nie rozumiem. Chyba masz tutaj wszystko czego ci trzeba.

– A ty? Nie myślałaś nigdy, żeby... przestać? W gruncie rzeczy sędzę, że jesteśmy dość podobne.

– Hmm.. I co zamierzasz?

Pytanie zawisło między pomarszczoną twarzą i pomarszczoną wodą, między szklistym wzrokiem i szkłem okularów. Wtem obie pary oczu spotkały się w jednym punkcie. Na blacie, obok powykręcanych reumatyzmem palców kobiety, leżała lisia maska.

– Nada się idealnie.

Klienci potrafili wyrwać z człowieka resztki dobrego humoru i zasiać w to miejsce frustrację. Ewa nie raz się o tym przekonała, ale i tak musiała szczyrzyć zęby nawet do najbardziej bezczelnych z nich. W rezultacie sztucznie podniesione kąciki ust mówiły jedno, a naturalne mikroekspresje – drugie. Konsumenci wiedzieli, że głosy ekspedientek zostały przesłodzone przeterminowanym cukrem, zaś uśmiechy doklejone tanim klejem. Jednak w niczym im to nie przeszkadzało. Grali w tę grę. Ewa też grała, chociaż z mniejszym entuzjazmem. Dużo mniejszym. W zasadzie marzyła, aby wykrzyzczyć w stronę irytujących ją osób parę niecenzuralnych słów, wyjść, trzasnąć drzwiami i nigdy nie wracać. Już niebawem miała szansę spełnić eufemistyczną wersję tego pragnienia: powiedzieć uprzejme „do widzenia”, wyjść, delikatnie zamknąć drzwi i nie wracać przez tydzień. Dostała bowiem zaproszenie do Wenecji od dawno niewidzianej babki.

Starsza kobieta mocno ścisnęła lisicę za kark. Zaciągnęła ją na tyły budynku i zaczęła wlec po schodach w dół. Zwierzę szarpało się i wrywało w desperackich próbach odzyskania wolności. Wszystko na nic. Człowiek, choć nie zdradzała tego jego aparycja, okazał się silniejszy. Zaklejoną lisi pysk mógł jedynie cicho popiskiwać. Staruszka doszła do celu, zamachnęła się i wrzuciła zwierzę do piwnicy tak jak ogryzek jabłka wrzuca się do śmietnika.

Okazało się, że nie tak łatwo znaleźć warsztat i sklep babci. Dotarłszy na wyspę, Ewa błąkała się po istnym labiryncie wąskich uliczek. Wielokrotnie cofała się i nadkładała drogi.

Wreszcie stanęła pod drewnianymi drzwiami pracowni. Minęła przedsionek i pchnęła kolejne drzwi, tym razem szklane. Jej oczy zaatakowała feeria barw i różnorodność form. Maski zajmowały niemal każdy skrawek przestrzeni; było ich tak wiele, że dziewczyna z trudem mogła skupić uwagę na czymś konkretnym. Prawie nie zauważyła starszej kobiety w fotelu.

– Dzień dobry, kochana – powiedziała babcia. – Rozgość się. Jak podróż? Zaraz zrobię ci mrożoną herbatę i wszystko mi opowiesz.

– Dziękuję, babciu. – Ewa poczuła się nieco onieśmielona tym wylewnym powitaniem. Odłożyła bagaż i rozejrzała się. – Piękne maski. Naprawdę sama je zrobiłaś?

– Co do jednej. Może chcesz którąś przymierzyć?

Ewa postąpiła parę kroków wprzód.

– Może tę? – Staruszka podała jeden z owoców swej pracy. Maską do złudzenia przypominała twarz babci Ewy. Każdy detal skóry został odwzorowany w najdrobniejszych szczegółach.

Ewa przyłożyła podarunek do policzków. Nagle maska zakleszczyła się na jej twarzy. Dziewczyna wrzasnęła. Po chwili całe ciało zaczęło się zmieniać. Skurczyła się, nabrała tuszy. Włosy rozrzedziły się i posiwiały. Ewa, dysząc, uniosła wzrok. W miejscu babci zobaczyła samą siebie.

– Co...? – Miała wrażenie, że ktoś dzielił ją łopataą po głowie. Próbowwała rzucić się na sobowtóra, ale starcze nogi odmówiły posłuszeństwa i runęła na ziemię.

– Trochę tu posiedzisz. – Usłyszała własny głos. – Będą cię odwiedzali Wodni Ludzie, na pewno ich rozpoznasz. Daj im wtedy maskę. Chcą tylko jakiejś tożsamości. Zapomniałabym: dziękuję za twoje młode ciało, kochana.

Prawdziwa Ewa nic nie rozumiała z tej paplaniny, jednak instynkt podpowiadał, że musi się bronić. Chwyła najbliższą maskę i cisnęła w drugą Ewę. Ta uchyliła się zręcznie i dopadła do wyjścia.

– Gdzieś tu jest drugi klucz, poszukaj sobie. A teraz żegnaj. – Sobowtór uśmiechnął się szczerze z tak wielką nieskrępowaną radością, że Ewa aż oniemiała. Dawno nie widziała siebie w takim stanie.

Skrob, skrob. Drap, drap. Nie, nie wydostanie się stąd. Nie teraz, nie dzisiaj, a może już nigdy? Wiedziała, że musi uciec, aby zrobić coś ważnego. Nie dla siebie, dla dziec... potomstwa. Potomstwa swojego potomstwa...? Ale co to było? Pamięć człowieka topiła się w morzu rudego futra, skomplikowane cele dwunogów ustępowały miejsca gonieniu na czterech łapach za

podstawowymi potrzebami. Krótko mówiąc, uwięzione podstępem stworzenie musiało dobrze się zastanowić czy jest kobietą, czy lisicą. A zastanawianie się przychodzi lisom z trudem.

Wenecja. Miasto na wodzie. To tutaj Wodni Ludzie mogli czuć się jak w domu. Bez problemu podróżowali kanałami, pozostając niedostrzeżeni. Gdy zapragnęli wyjść na ląd, prosili o pomoc starą wiedźmę w zamian za czar przedłużający życie. Dzięki jej maskom na jakiś czas zyskiwali człowiecze bądź zwierzęce ciało, dzięki wszechobecnej wodzie regenerowali siły.

Wenecja. Raj dla Wodnych Ludzi. Nie wszystkich.

Klucz przekręcił się w zamku ze zgrzytem przypominającym odgłos kruszonego lodu. Brązowo-włosa dziewczyna opuściła sklepik z maskami i wyszła na pustą uliczkę. Stuk, stuk. Pewne kroki damskich butów uderzały o bruk. Po paru minutach marszu młoda kobieta ukazała się żywszej części Wenecji. Plecak, dżinsowe szorty i koszulka bez rękawków sprawiały, że idealnie wtapiała się w tłum turystów. Tylko te mokre oczy nie pasowały do zadowolonej urlopowiczki. Płakała? A może to alergia?

Stuk, stuk. Dotarła do Wielkiego Kanału i po raz ostatni zapatrzyła się na wypełniający go żywioł, który bezwolnie ustępował pod naporem gondolierów i kapitanów statków.

Woda nie posiada własnego kształtu, lecz przybiera kształt naczynia, w którym się znajduje. Dzisiaj woda miała kształt Ewy.

Tomasz Golis – Najważniejsze kliknięcie w życiu

Czy był gotowy na najważniejsze kliknięcie w swoim życiu?

Agata – przyjaciółka z dawnych czasów – do tej pory odwiedziła go tylko kilka razy, ale tym razem uznała, że temat jest zbyt poważny, i że będzie u niego za godzinę. Nie przypuszczała, że sprzątnięcie mieszkania wymaga tyle wysiłku, ale kiedy usłyszał dzwonek domofonu, był już gotowy. Agata zrzuciła buty i usadowiła się w salonie, instalując laptopa na stoliku kawowym. Nawet nie rozejrzała się, nie sprawdziła jak teraz mieszka.

- Muszę ci coś pokazać – powiedziała, odgarniając włosy z czoła. Nie miała makijażu i wyglądała, jakby sama wybiegła z domu w pośpiechu. Nie wiedziała, że Mikael już dawno temu przygotował się na podobną okazję i dbał, by w szafce było wino, ale ciężko powiedzieć, czy tego akurat dnia sprawy miały pójść w tę stronę.
- Rozmawialiśmy kiedyś o pewnych forach. Takich, które ciągle używają phpBB, gdzie ciągle wymaga się rejestracji – często przez polecenie, niewidzialnych dla robotów Google.
- Futrzaki. Kosmici, którzy piszą do gazet o Chemtrails. I tym podobne. Głębiej nie wchodziłem, bo sama wiesz.
- A-ha. Na pewno wchodziłeś. Ja zresztą też. Ale nieważne. Niedawno łąziłam po trochę lżejszych forach, takich, gdzie po nocach siedzą ludzie związani z chmurą: przetwarzaniem rozproszonym, uczeniem maszynowym i tak dalej. I pomyliły mi się okienka. Zamiast w naszym, wkleiłam coś u nich. To był fragment wiersza, który mi kiedyś przesłałeś. Tego o śnie, w którym wyraźnie odczuwasz istnienie swojej twarzy.
- Chryste. I ty to przeklejasz innym ludziom?

Ale przecież ucieszył się. Może jednak wino się przyda.

- Przeklejam rzeczy, które uważam za ciekawe – odpowiedziała, nie patrząc w jego stronę. – I, o dziwo, okazało się, że wśród tych informatyków, wśród tych bladych dzieci nocy, połowa zadeklarowała się, że czyta Derridę.
- Nie rozumiem, co ma jedno do drugiego.
- Nieistotne. Ale zaczęliśmy zastanawiać się, czym jest w dzisiejszych czasach nasza twarz, cyfrowa twarz.

Mikael wstał i poszedł po wino. Agata spojrzała na niego w sposób, którego nie potrafił zinterpretować, ale wzięła ostrożny łyk.

- Jeden z nich zaprosił mnie do prywatnego czatu.
- O-ho. A co na to twój narzeczony?

- Oj przestań – znowu sięgnęła po kieliszek. – Powiedział, że razem z pewną grupą ludzi pracuje nad czymś, co może mi się spodobać.
- Jaką grupą?
- Ludzi, którzy mają dostęp do tego, czego nie widać w Internecie. I do praktycznie nieograniczonej mocy obliczeniowej.

Agata odstawiła kieliszek.

- Wysłałam Ci właśnie zaproszenie. Uruchom komputer.
- A co to jest?

Agacie błyszcząły się oczy.

- Aplikacja, która jest tobą.

Proces nie był skomplikowany. Po kliknięciu w zaproszenie, w przeglądarce otwierała się strona MSAK.org, skąd można było ściągnąć aplikację. Mikael spojrzał na Agatę.

- Ty to oczywiście już wypróbowałaś, prawda?
- Oczywiście, że nie. No, dalej. Jesteś gotowy na najważniejsze kliknięcie w swoim życiu?

Uruchomił.

Pojawił się ekran poleceń, przez który zaczęły przepływać jakieś procenty.

- To chwilę potrwa – wyjaśniła Agata. Aplikacja zapoznaje się z tobą.
- Czyli z czym?
- Oj, dużo tego – zaczęła wyliczać. – Historia wyszukiwania, połączona z datą i godziną, historia uruchomionych aplikacji i wszystkie dane z uruchamianych procesów, jeśli udostępniają API, jawnie bądź niejawnie, a uwierz mi, że większość udostępnia. Do tego wszystkie twoje konta e-mailowe, logowania do banku – tam dopiero są fajne backdoory... A, i jest jeszcze standardowy systemowy keylogger. Czemu robisz taką minę? Nie wiedziałeś? – Agata ciągnęła dalej. – Do tego heatmapa twoich kliknięć na stronach WWW, co pozwoli aplikacji wczuć się w to, kiedy patrzyłeś, na co i jak długo...

Było tego dużo, bardzo dużo. Podwójnie sproxowane API FB, które pozwalało na odtworzenie mapy interakcji na siedem lat wstecz. Nie tylko polubień i komentarzy, ale też tego, na czym profilu spędzał najwięcej czasu, które zdjęcia najdłużej oglądał, kiedy wahał się, czy kliknąć „Lubię to”, ale w ostatniej chwili cofnął kursor.

- Zauważ, że większość rozmów prowadzisz teraz przez FB. Cyfrowo. Czegóż chcesz więcej.

- Ile to jeszcze potrwa?
- Nie wiem. Ale przesłanie wszystkich danych to dopiero pierwszy z kroków. Potem ta cała zupa trafi do sieci neuronowej. Ponoć trenowali ją od 2002 roku. Po tym, jak nakarmię sieć twoimi informacjami, każą jej się dostroić tak, by była w stanie samodzielnie powtórzyć każdą twoją interakcję, każde kliknięcie, dokładnie tak, jak ty.
- Każdą?
- Zdecydowaną większość. Pamiętaj, że mają do dyspozycji całą moc IDLE chmur Amazonu i Microsoftu. Lepšie to niż renderowanie deep fakes, jeśli o mnie chodzi...

Coś zawibrowało. Agata chwyciła za telefon.

- U Miki... Tak, wiem. A jednak. Dobrze. Już jadę.
- To był...?
- Tak. Muszę lecieć. Może to i lepiej. Dobrej zabawy. Odezwij się.

Po minucie już jej nie było. Zapadł zmrok. Monitor świecił bladą poświatą. Mikael samotnie już dopił wino, z nogami na biurku. „Może to i lepiej”? Należy uważać na uśmiechy losu. Coś kliknęło. Przed twarzą zajaśniał mu związły komunikat:

„Gotowe. Naciśnij ENTER, aby rozpocząć.”

Mikael zastanowił się, ile katastrof rozpoczęło się od niewinnego kliknięcia ENTER.

Co najgorszego może się zdarzyć?

Potwierdził.

Na ekranie zaczęły pojawiać się kolorowe okna. Z przerażeniem rozpoznał stronę – szalenie popularną – od której zaczynał wieczorne przeglądanie sieci. Spróbował ją zamknąć, ale kursor sam zwinnie uciekł w drugą stronę. W pasku wyszukiwania pojawiły się hasła. Znał je aż za dobrze. Próbował wszystkiego po kolei: ALT+F4, CTRL+ALT+DEL... Nic nie skutkowało. Musiał poczekać.

Karuzela kręciła się dalej. MSAK otworzył klienta poczty i sprawdził nowe wiadomości, po czym żwawo zaczął odpisywać na kilka ważniejszych. Mikael z przerażeniem odkrył, że zaczyna od takiego samego pozdrowienia, używa takich samych zwrotów i nawet waha się w momentach, w których zawahałby się on sam. „Nie wierzę”, wymamrotał, po czym usadził się głębiej w fotelu. Korespondencja poszła w świat, zdążył przejrzeć treść wszystkich wiadomości i musiał przyznać, że sam napisałby je tak samo.

Przyszła kolej na wiadomości. Stały zestaw: Economist, Dupelek, Reddit. MSAK nawet przesuwał ekranem w tempie, w jakim zwykle robił to Mikael; doskonale wiedział, które rzeczy go

interesują, pod jednym z wątków nawet zaczął coś komentować, Mikael już zdążył się przestraszyć, bo temat był ryzykowny, ale MSAK też się przestraszył i serią wirtualnych Backspace'ów wycofał się z komentowania.

Mijały kwadranse. Mikael czuł, że nie może się poruszyć. Nie odrywał wzroku od monitora. Przez otwarte okno wciskało się zimne, nocne powietrze, ale Mikael nie miał już siły aby wstać i przynieść koc. Czuł się z każdą sekundą mniejszy. Skoro jego nowa, doskonała, sieciowa maska tak doskonale radzi – czy on sam nie stał się zbędny?

Na ekranie błysnął niebieski ekran Facebooka. Cursor rozwinął listę kontaktów, wybrał Agatę, otworzył okienko rozmowy.

Długo stał w miejscu. Mikael nawet nie mrugnął. Ciekawe, co napisze.

Ciekawe, co pomyśli.

Zuzanna Kaczorek – Potwór Maska

Obudziłem się. Było strasznie zimno – prawdopodobnie właśnie dzięki temu odzyskałem świadomość. Podejrzewam, że zemdlałem, bo nie przypominam sobie, żebym chciał zasnąć na spotkaniu dotyczącym mojej nowej książki... To miał być mój debiut literacki, a omawiać mieliśmy szczegóły wydania – co się stało? Wokół mnie panowała całkowita cisza. Gdzie się wszyscy podzieli?

Spróbowałem otworzyć oczy. Nie mogłem. Poruszyłem się – to także nie wyszło tak, jak powinno. Zupełnie jakbym został przykuty do podłoża. Postanowiłem zawołać o pomoc. Spróbowałem otworzyć usta, ale to również mi się nie udało. Nagle do moich oczu wpadło mnóstwo światła, a uszy wypełnił odgłos kroków kilku (prawdopodobnie trzech) osób w butach na płaskim obcasie, stukających po posadzce. Skąd wiedziałem, że ludzi jest trójka, skoro jeszcze ich nie widziałem, oraz dlaczego podejrzewałem ich o akurat takie obuwie? Ustyszałem to. Nie wiem jak ani dlaczego, ale byłem tego pewien. Tymczasem mój wzrok się wyostrzył i ujrzałem nad sobą twarz redaktora.

– Jak się spało? – Zapytał, po czym jakby wiedząc, że nie dostanie odpowiedzi, kontynuował – Muszę przyznać, że ciężko było pana uśpić. Bałem się już, że mam sklerozę i zapomniałem dorzucić panu do wody środki nasenne... Na szczęście jednak w końcu zadziałały i mogliśmy przystąpić do dzieła.

Nie rozumiałem, o czym ten człowiek mówi. To miało być spotkanie dotyczące książki, a nie jakiś eksperyment! Tymczasem redaktor cały czas mówił:

– Pewnie zastanawia się pan, dlaczego nie może pan otworzyć ust. To dlatego, że już ich pan nie ma. Tak samo jak powiek. Pamięta pan tę maskę w moim gabinecie, którą się pan tak zachwyił?

Pamiętałem. Redaktor był tak poruszony moją powieścią, że zaprosił mnie na pierwsze spotkanie do swojego domu. W przedpokoju na ścianach wisały przepiękne maski. Podobno sam je robił. Moją uwagę przykuła granatowo – złota maska przypominająca kształtem głowę kozła z dwoma parami rogów...

– Tak, właśnie tę. Cóż, postanowiłem panu ją podarować. Nawiasem mówiąc to, co zobaczył pan na mojej twarzy również było maską.

To mówiąc, redaktor powoli zaczął... Zdejmować sobie twarz. Nie mogąc zamknąć oczu, obserwowałem, jak zmienia się jego oblicze – tak, naprawdę oderwał sobie skórę z twarzy. Zostały same mięśnie i wystające spod nich kości oraz wytrzeszczone, wlepione we mnie gałki oczne.

– Pewnie nie może pan teraz uwierzyć w to, co pan widzi, prawda?

Rzeczywiście nie mogłem, ale rzecz jasna nie miałem jak mu o tym powiedzieć. Ale to nie był jeszcze koniec opisu redaktora. Gdzieś spod stołu, na którym musiałem leżeć, ten potwór wyjął kolejną twarz. Jak się okazało, moją. Redaktor założył ją i uśmiechnął się do mnie.

– Jak widać, nie musi się pan martwić, że ktoś zauważy pana zniknięcie. To nasze najnowsze osiągnięcie w dziedzinie wykradania cudzej tożsamości.

Patrzyłem w oczy samemu sobie... Nie, to już nie była moja twarz. Skoro on miał moją, to ja miałem...

Redaktor wyjął spod łóżka jeszcze jedną rzecz. Było to małe lustro. Przejrzałem się. Tak, ta maska była naprawdę piękna... I straszna. Prawie tak, jak jej twórca, który właśnie zadał mi pytanie:

– Naprawdę myślał pan, że nikt nie zauważy, że adres i inne dane organizacji kradnącej tożsamości w pana książce zgadzają się z naszymi?

Redaktor zrobił efektowną pauzę, po czym kontynuował:

– Przy okazji, spodobała mi się koncepcja potwora z maską, którego rzekomo tworzymy... Uznałem więc, że skoro już spisuje pan fakty, pozwolę również temu konceptowi stać się rzeczywistością.

Byłem przerażony. Tak, książka traktowała o potworze w masce stworzonym przez organizację podobną do tej tutaj. Napisałem ją na podstawie snu, w którym zobaczyłem budynek będący siedzibą złodziei tożsamości. Po obudzeniu się od razu zacząłem notować wszystko co pamiętałem, adresy, imiona, nazwiska... Czyżby to wszystko się zgadzało?

Redaktor uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– I co, proszę pana? Ta dwójka zachowująca bezpieczną odległość to moi współpracownicy, których nazwiska zawarł pan w książce. Jesteśmy w budynku, który również został tam wspomniany, w najgłębszej jego części, piwnicach... A pan jest potworem. Jak pan zapewne pamięta, potwór ów miał niezwykle wyostrzony słuch i wzrok, niemal nie czuł bólu, był obdarzony niezwykłą siłą i refleksem, a przede wszystkim... Tak, przede wszystkim był całkowicie nieodporny na światło. Pan również te cechy posiada. Pewnie zdaje się panu, że jest tu strasznie jasno. W rzeczywistości ja ledwo widzę pańskie kontury. Większa ilość światła by pana zabiła...

Nigdy wcześniej nie brałem udziału w czymś tak chorym i przerażającym. Jakby tego było mało, redaktor kontynuował:

– A teraz, do rzeczy. Kiedyś przypadkiem stworzyliśmy innego potwora przeprowadzając na nim eksperymenty. Niestety nikt nie przewidział, że stanie się on na tyle silny, by nam uciec... Udało nam się zamknąć go w tej piwnicy, ale nie chce zdechnąć. Nic na niego nie działa. Pana zadaniem jest go zabić. Jeśli spróbuje pan uciec, zabije pana światło. Jeśli nie będzie chciał pan z nim walczyć, zabije pana on. A teraz życzę dobrej nocy.

Po tych słowach redaktor się odsunął, a ja znowu straciłem przytomność. Obudziłem się w jakimś korytarzu. Prawdopodobnie było tam ciemno, ale ja widziałem wszystko doskonale. Wstałem i bezmyślnie poszedłem przed siebie.

Potem długo, długo nic się nie działo. Nie wiem, jak długo się błąkałem zanim natknąłem się na coś ciekawego. Zdziwiony przystanąłem. Przede mną stało stworzenie mojego wzrostu, z głową kozła z czterema rogami, i wgapiło się we mnie uporczywie. Pomachałem mu ręką. Odmachało. To lustro? Przekrzywiłem głowę, ono też. Tak, z pewnością to lustro... Nagle lustro odwróciło się i zaczęło uciekać. Ruszyłem za nim. Na chwilę tracąc je z oczu, wbiegłem do dużego pomieszczenia o szarych ścianach. Rozglądałem się, gdy stworzenie kompletnie inne od tego, które przed chwilą widziałem, rzuciło się na mnie z sufitu. Przyjmując jego pierwsze uderzenie, wyciągnąłem rękę, dziurawiąc potwora na wylot. Ten odskoczył i drżał przez chwilę, po czym zmienił całkowicie swój wygląd. Dziura magicznie się zrosła, a przede mną stał kompletnie nowy przeciwnik...

Zostałem przyparty do muru... I to dosłownie. Wtedy właśnie, całkiem przypadkowo, oderwałem przeciwnikowi głowę, nabijając ją na jeden z moich rogów. Ta natychmiast odrosła, jednak całe ciało potwora... Skurczyło się. Zobaczyłem wtedy swoją szansę – rozerwać wroga na strzępy.

Nie będę opisywać tej walki – sam nie byłem pewien, co dokładnie się działo. Wiem tylko, że zaraz potem w piwnicy zapaliło się światło i poczułem, jak moje ciało staje w płomieniach. Nie sądziłem że tak to się skończy – miałem nadzieję... Sam nie wiem na co.

Nikt (łącznie ze mną!) nie przypuszczał, że płonąc, wyważę drzwi do piwnicy. Zanim utraciłem zdolność chodzenia, doszedłem aż na drugie piętro budynku. Nie wiem, ile rzeczy zajęło się moim ogniem ani ilu ludzi wrzeszcząc uciekło na sam mój widok, i szczerze mówiąc niewiele mnie to obchodzi. Mam tylko nadzieję, że redaktor był gdzieś tam i widział swoje dzieło stojące w płomieniach. Tuż przed śmiercią pomyślałem sobie, że gdybym skończył moją książkę w ten sposób, na pewno stałabym się bestsellerem. A potem...

Potem obróciłem się w proch.

Martyna Wyleciał – Widzę twoją twarz

Jej dziecięca maska uciskała ją. Próbowwała ją jakoś poprawić, ale żadna pozycja nie zmniejszyła niewygody. Westchnęła. Na szczęście już wkrótce dostanie nową. Bal zbliżał się wielkimi krokami, a ona była bardzo podekscytowana.

Matka krzątała się po mieszkaniu, jak zwykle próbując skompletować wszystkie rzeczy potrzebne jej do pracy, które dziwnym trafem rozpełzły się po mieszkaniu. Maski matki zawsze robiła na Gai wrażenie. Czarna laka i wysoko wycięte kości policzkowe nadawały jej poważnego i surowego wyglądu. Jednak Gaja widziała w tym siłę i niezależność kobiety, która sama kreuje swój wizerunek. Miała nadzieję, że i ona będzie miała odwagę zdecydować o swoim życiu.

– Wrócę dzisiaj trochę później, idę się spotykać z Florą – powiedziała do matki.

– Dlaczego? – Nawet nie oderwała się od przeglądania zawartości torebki.

– Wkrótce wszystko się zmieni. Jak następnym razem się zobaczymy, będziemy już innymi osobami. Dorostymi – odparła Gaja z emfazą.

Matka tylko przytaknęła.

*

Znały się od lat. Poznały się podczas pierwszej ceremonii, kiedy dostały swoje dziecięce maski. Tak naprawdę Gaja nie pamiętała jak wyglądała wtedy Flora – dla niej przyjaciółka miała zawsze porcelanową twarz i małe różowe usteczka. Od tego czasu były nierozłączne. Widywały się niemal każdego dnia i mówiły sobie wszystko.

– Stresuję się – powiedziała Gaja. – Co jeśli mu się nie spodobam?

Flora wzruszyła ramionami.

– Co to zmieni? I tak jesteście sobie pisani. Nie ma wyboru.

Gaja przekrzywiła twarz, żeby jej maska przybrała naburmuszony wyraz.

– To ma mi niby pomóc? A co jeśli ściągnę maskę i go rozczaruję? Wszystkich rozczaruję?

Westchnięcie Flory było głośne i bardzo wymowne.

– Za bardzo się przejmujesz. Jeśli tak cię to męczy, to ściągnij maskę teraz. Zobaczę i ocenię jakie masz szanse – Flora wzruszyła ramionami.

Serce Gai stanęło. To, co proponowała Flora, było niedopuszczalne. To było nie tylko złamaniem najważniejszej zasady, ale również najbardziej ekscytującą rzeczą, jaką mogły zrobić. To jednak mogło je wiele kosztować. Kara za złamanie zasady maski... nawet nie chciała o tym myśleć.

– Zdejmę ją tylko, jeśli ty zdejmiesz – powiedziała cichutko.

– Jasna sprawa! – Gaja знаła ją zbyt dobrze, by nie dosłyszeć w jej głosie szelmowskiego uśmiechu skrytego pod maską.

*

– Na trzy.

Położyły nawzajem prawe dłonie na swoich maskach i po nerwowym odliczaniu ściągnęły je. Przez chwilę tylko wpatrywały się w siebie, przerażone i podekscytowane swoim czynem. Serce Gai biło jak oszalałe. Patrzyła na swoją przyjaciółkę w niemym zachwycie. Znała ją niemal całe swoje życie, a jednak teraz czuła się, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy w swoim życiu.

Flora pod maską wyglądała niemal tak pięknie jak jej maska. Błada, niemal porcelanowa cera była zarumieniona od emocji. Usta rzeczywiście były małe, ale dużo bardziej różowe. Po raz pierwszy zobaczyła jej oczy, niezacienione przez otwory w masce. Były szaroniebieskie i Gaja nie miała ochoty odrywać od nich oczu.

Jej przyjaciółka sięgnęła do jej twarzy i opuszkami dotknęła jej policzków.

– Nie sądziłam, że masz takie ostre kości policzkowe – szepnęła.

Choć nikt ich nie słyszał, szept wydawał się być bardziej na miejscu.

– Jak wyglądam?

Flora uśmiechnęła się. Gaja często wyobrażała sobie swój szelmowski uśmieszek, ale teraz spoglądała z zachwytem na przyjaciółkę.

– Będzie zachwycony – powiedziała tylko. Ten uśmiech nie pasował do smutku w jej głosie.

*

Świątynia Siedmiu Twarzy wyglądała wspaniale. Kwietne wizerunki Wielkich Pradków spoglądały ze wszystkich ścian. Lampiony zawieszane u sufitu dawały miękkie, żółte światło. Oświetlały ich białe dziecięce maski, które za chwilę miały być zdjęte.

Na jedną godzinę mieli publicznie pokazać swoje twarze. Odstąpić się i być sobą. Pokazać swoją prawdziwą twarz osobie, która została im wybrana, z którą spędzą resztę dorosłego życia. Jedyńą twarz, w którą będą mogli spoglądać.

Gaja zastanawiała się, czy gdy zobaczy twarz wybranego jej Waleriana, poczuje to samo, co czuła patrząc w twarz Flory. Stała zdenerwowana, wpatrzona w jego dziecięcą maskę, pulchną i szeroko uśmiechniętą. Przyjaciółka stała obok, patrząc zza swojej porcelanowej maski na przeznaczonego jej chłopca. Musiała zadzierać głowę, bo był dużo wyższy od niej.

Wzięła Waleriana za rękę, tak jak nakazywał rytuał, drugą położyła na jego masce. Przeczekali, aż kapłan wyrecytuje imiona siedmiu Wielkich Przodków i ich darów, które mieli otrzymać wchodzący w dorosłe życie młodzi ludzie.

– A teraz odrzućcie swoje dziecięce maski i spójrzcie w twarz swojej przyszłości.

Gdy rozbrzmiał gong, ściągnęli nawzajem maski. Nie miały im się już przydać. Po rytuale mieli przywdziać swoje dorosłe twarze.

Gaja patrzyła w twarz Waleriana i nie czuła nic. Nie miał nic z pulchności swojej dziecięcej maski, a jego oczy były ciemne i chmurne. Analizowała wydatny podbródek i wąski nos chłopca. Próbowła wykrzesać z siebie to uczucie, które nią poruszyło, ale nie było w niej nic. Za to myśl o spędzeniu z nim życia przerażała ją.

– Widzę twą twarz – odezwał się Walerian. – Dla ciebie odrzucam mą maskę. Dla świata odrzucam mą twarz.

Czekał, aż powtórzy te słowa, a potem przywdzieją przygotowane przez siebie nawzajem dorosłe maski. Gaja spojrzała na tą, którą przygotowała ubiegłej nocy, i nijak nie pasowała ona do stojącego przed nią Waleriana. Miała białe policzki i różowe usta.

Puściła dłoń Waleriana.

*

Flora już miała powiedzieć swoją przysięgę, gdy nagle poczuła, jak na jej ramieniu zaciska się czyjaś dłoń. Spojrzała w bok, by napotkać niepewny wzrok Gai.

Westchnęła z ulgą. Przez salę potoczył się pomruk niepokoju.

– Floro – powiedziała już pewniej Gaja. – Widzę twoją twarz. Dla ciebie odrzucam mą maskę. Dla świata odrzucam mą twarz.

Jej przyjaciółka z uśmiechem powtórzyła słowa przysięgi. Ich przeznaczeni i wybrani przez rodziców partnerzy byli tak zaskoczeni, że nie zdążyli zareagować. Ale Gai to nie obchodziło. Wpatrywała się z zachwytem w twarz przeznaczonej jej kobiety.

– Widzę twoją twarz, Floro. I jestem szczęśliwa.